

ROLA

Rok VII.
Kraków, dnia 3 sierpnia 1913 r.
Nr. 31.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz jednoszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 3 do 6. Telefon nr. 2346.

Cerkiew prawosławna.

Od czasów papieża Leona XIII zajmuje się coraz więcej osobników, zwłaszcza teologów, sprawą połączenia cerkwi prawosławnej z Kościołem rzymsko-katolickim. Na pozór nie wydaje się to zbyt trudną rzeczą, ponieważ istotnie różnice obydwóch tych wyznań nie są zbyt wielkie. Przyczyną schizmy wschodniej było odrzucenie ze strony greckiego kościoła dogmatu o pochodzeniu Ducha św. także od Syna Bożego. Drugim głównym szkopułem pojednania — to uznanie za głowę Kościoła papieża. Inne różnice, jako nie naruszające istoty wiary, nie sprawiałyby zbytnich trudności.

Cerkiew wschodnia uznaje dotąd porówno z Kościołem katolickim siedm sakramentów św., jakkolwiek przy ich udzielaniu zaprowadziła własną odmienną praktykę, która jednakże ważności sakramentów nie narusza. Tak n. p. chrztu udziela się przez trzykrotne zanurzanie, co dawniej i w kościele katolickim było w zwyczaju. Władzę bierzmowania, u nas właściwą tylko biskupom, posiada każdy kapłan, lecz i w Kościele katolickim mogą władzę tę w wyjątkowych wypadkach, n. p. na misyach wśród pogan, otrzymać kapłani. Nauka o przemienieniu chleba i wina w Ofierze Mszy św. w Ciało i Krew Chrystusa Pana, jest w obydwóch kościołach ta sama. Tylko Komunię św. przyjmuje się w kościele wschodnim pod dwiema postaciami, jak to było w zwyczaju w pierwotnym kościele chrześcijańskim i jak jest po dziś dzień u Rusinów, grecko katolickiego obrządku.

Spowiedź u prawosławnych jest równie obowiązkowa jak u katolików. Najświętszą Maryę Pannę czczą i wynoszą ponad wszystkich Aniołów i Świętych Pańskich. Owszem, mają nawet szczególniejsze nabożeństwo do Matki Boskiej Częstochowskiej i Ostrobramskiej.

Na czele kościoła prawosławnego jako głowa jego stoi car, atoli władza jego w praktyce ogranicza się tylko do prawa mianowania dostojników kościelnych. W rzeczach wiary rozstrzyga »św. synod« z oberprokuratorem. Biskupów wybiera się tylko ze stanu zakonnego. Subdyakonowi wolno się żenić, ale tylko raz w życiu. Jedno i drugie napotykamy do dziś dnia u Unitów.

Na ogół można powiedzieć, że kościół prawosławny okazuje pewne względy wobec innych wyznań, zwłaszcza sekt rozmaitych. Nie znosi tylko, ażeby prawosławny swej wierze się sprzeniewierzył. Wtenczas ściga go i prześladuje. Dzieci z małżeństw mieszanych muszą koniecznie być wychowane w religii prawosławnej, bez względu na wolę rodziców.

Lud rosyjski, stojący na ogół na bardzo niskim poziomie oświaty z powodu braku szkół i braku przymusu szkolnego, jest przeważnie bardzo religijny, ale naturalnie z powodu ciemnoty swej bardzo także zabobonny.

Widzimy tedy, że między zasadami wiary rzymsko-katolickiej a prawosławnej niema zbyt wielkich, istotnych różnic. Połączenie obydwóch kościołów mogło było już dawno nastąpić, gdyby prawosławni nie wzbraniali się tak uporczywie uznać papieża za głowę swoją, gdyby z mniejszem uprzedzeniem, z mniejszą nienawiścią odnosili się do Kościoła katolickiego.

Mimoto ziarno rzucone poczyna już kiełkować. Idea powrotu cerkwi wschodniej na łono Kościoła katolickiego znajduje coraz więcej zwolenników wśród wybitnych teologów prawosławnych. Polska ma pod tym względem niewątpliwie do spełnienia dziejowe posłannictwo. Była przez wieki całe przedmurzem chrześcijaństwa wobec nawały świata muzułmańskiego, ufajmy, że Bóg jej dozwoli dokonać i drugiego, szczytnego posłannictwa, t. j. unii cerkwi wschodniej z jedynym, świętym, apostolskim, katolickim Kościołem.

Rok Burzy.

(Opowiadanie porucznika z r. 1863).

40. NAZAJUTRZ.

Niezadowolenie z siebie. — Postanowienie ucieczki. — Nowe wezwanie. — Zadziwiające słowa.

Resztę tego dnia, tak pamiętnego w mem życiu, przepędziłem nie tyle może w wielkim niepokoju, ile niezadowoleniu ze siebie. Przedewszystkiem gryzło mię to, że chybiłem, ja, com się chlubił z celności mych strzałów, com jaskółki kulami w locie strącał. To poczucie niezadowolenia zmieniło się w ciężką zgryzotę, gdy późnym wieczorem Adolfina przyniosła mi Hiobowe zaiste wieści o skutkach zamachu...

Wszystko to tak mię zmartwiło, tak mi obrzydziło Warszawę, że dopełniwszy tego, com przyrzekł, postanowiłem nie zwlekać ani chwili, tylko uciec stąd jak najprędzej do moich szeregów, do mych towarzyszy boju, do otwartej i rycerskiej walki z wrogiem. Na wspomnienie wszystkich panów Białych, Zezowatych, Okularników obrzydzenie mię brało i żałowałem ciężko, żem się dał namówić do podróży do stolicy, do pobytu tutaj, okupionego tak ciężką, tak bolesną ofiarą, jaką była śmierć mego biednego Karola i tyle nieszczęść, tyle nieszczęść!... Gdyby nie to, że nie mogłem tak opuścić Józefiny, że nie mogłem zostawić tutaj mego Burczymuchy, byłbym natychmiast uciekał. Ale trzeba było porozumieć się z pierwszą i z drugim, i uciekać już razem.

W tym celu nazajutrz rano wysłałem Adolfinę z liścikiem do żony kapitana Rotkircha. Prosiłem Józefinę, by mi doniosła, kiedy i w jaki sposób uciekać możemy, gdzie mamy się zejść i którędy opuścić, bardzo pilnie strzeżoną Warszawę. Adolfina po załatwieniu się z Józefiną i po otrzymaniu od niej odpowiedzi miała udać się do Burczumuchy i sprowadzić go do mnie. Stąd już razem mieliśmy puścić się w drogę.

Poczciwa ta dziewczyna z tem poświęceniem bezgranicznem, jakiego mi tyle dała dowodów, wyruszyła do Józefiny, zapewniając mię, że zrobi wszystko, co tylko będzie mogła, i że w każdym razie w tym dniu będę miał pewne wiadomości. Pozostałem sam, dręczony nadzwyczajnym niepokojem, pełen najgorszych przeczuć, smutny nieskończenie, do czego niewątpliwie przyczyniały się bardzo wiele opłakane wieści, jakie mi przyniosła z miasta najprzód pani Franciszka, potem urzędowy »Dziennik powszechny«, donoszący w krótkich, ale zjadliwych słowach o wczorajszym zamachu, że »wprawdzie złoczyńcy, zapewne wspierani przez źle myślących mieszkańców, zdołali zbiedz, ale władza jest już na ich tropie i zasłużona kara ich nie minie«.

Wreszcie wieści te znalazły potwierdzenie w tem, co opowiedzieli zecerzy, przybyli do składania powstańczego pisma, mocno przerażeni i zestrachani tak, że pobywszy chwilę i pogadawszy ze mną, pod błahym pozorem wynieśli się i więcej się tego dnia a zapewne i później nie pokazali. W takich warunkach mijały godziny za godzinami z jednostajnością nużącą i denerwującą mię niesłychanie. Siedziałem ciągle w oknie, wychodzącem na podwórze, skąd mogłem widzieć bramę i wypatrywałem oczy, by ujrzeć powracającą Adolfinę. Ale czas powoli upływał, nadszedł wieczór i noc, a mej posłanniczki nie było widać. Co się ze mną działo, łatwo zrozumieć. Gdy noc zapadła, poczekałem jeszcze parę godzin, wreszcie zeszedłem na dół do matki i siostry Adolfiny, by się zapytać o nią. Ale niegodziwe kobiety roześmiały mi się w oczy. Panna Julia, znacznie starsza od Adolfiny, brzydka, wymalowana, wystrojona jaskrawo, ruszyła ramionami i rzekła:

— O Adolfinę pan się obawia? Pyta pan, gdzie ona jest? Czy ja wiem? Zapewne została u kogo na noc i jutro rano wróci. Czyż jej to pierwszyzna?

Niestety! Wiedziałem, że jest inaczej, bo jeżeli moja dzielna Adolfina dotąd nie wróciła, to dlatego, że musiało się jej jakieś nieszczęście przytrafić. Wróciłem do siebie, bo po nocy wszelkie wycieczki na miasto były bardzo niebezpieczne, gdyż, jak mię zapewniali zecerzy, żandarmi chwytali na ulicach nieomal każdego mężczyznę i poddawali ściślej rewizyi i badaniu. Zostałem więc i przepędziłem jedną z najstraszniejszych, najprzykrzejszych nocy w mem życiu. Nad ranem dopiero zasnąłem trochę i tak mocno, że się obudziłem około godziny dziesiątej. Zerwałem się na równe nogi i pierwszem mojem pytaniem było, czy Adolfina wróciła? Niestety! Nie było jej jeszcze.

Teraz nie ulegało już najmniejszej wątpliwości, że biednej dziewczynie przytrafiło się jakieś nieszczęście, i że zwlekać nie mogłem ani chwili. Trzeba było udać się do miasta i dowiedzieć się czegoś. Starałem się opanować moje wzburzenie i chłodno rzecz rozpatrzyć. Udało mi się to i w końcu postanowiłem, po dojrzałym namyśle, udać się najprzód do Burczymuchy i dowiedzieć się, czy u niego Adolfina była wczoraj. Jeżeli była, to znaczy, że sprawę Józefiny szczęśliwie załatwiła, i że powracającej od Burczymuchy coś się przytrafiło, coś, co nie pozwoliło jej wrócić ani wczoraj, ani dziś rano do domu, ale co jest zapewne rzeczą bardzo groźną. Jeżeli zaś wcale nie była u Burczymuchy, na ulicy Czarnej, to znaczy, że katastrofa jakaś straszna zaszła z Adolfiną i zaszła nie gdzieindziej, tylko w domu kapitana Rotkircha.

Była godzina piąta po południu, gdym ten zamiar mój niezwłocznie postanowił wykonać, co nie należało do rzeczy łatwych, a nadewszystko bezpiecznych. Ulica Czarna leży nad samą Wisłą i trzeba było przejść przez miasto znaczną przestrzeń, wobec zdwojonej przez ostatnie wypadki czujności policyi. Ale nie miałem innego wyboru; paliła mię gorączka niepokoju i chęć wydostania się za jaką bądź cenę z murów tego krwawego miasta.

Dnie były wtedy ładne, ciepłe, słoneczne i dlatego wahałem się, czy wziąć płaszcz, co dość śmiesznie wyglądało w czasie pogody, czy też czekać do wieczora. Ale nie byłem w stanie czekać; gdybym był siedział samotny, z mojemi tylko myślami w czterech ścianach mej izby, byłbym oszalał.

Nadziałem więc na siebie kapelusz, okryłem się płaszczem, schowałem do kieszeni rewolwer i już wychodziłem, gdy w kuchni pani Franciszkowej zdybałem się z panem Sumińskim. Dawno go nie widziałem, zapomniałem o nim zupełnie, porwany wirem innych wypadków i innych ludzi. Stał w kuchni, ubrany w lśniący, modny cylinder, w suknie letnie, strojne i eleganckie, na rękach miał jasnożółtego koloru rękawiczki i laseczkę ze srebrną gałką w ręku. W swych binoklach na nosie, ze swemi lordowskiemi faworytami, twarzą silnie zaakcentowaną, jakby jastrzębią, ustami wąskiemi i stalowemi oczami, wyglądającemi z poza binokli, robił wrażenie wielkiego pana, włóczącego się bez celu po bruku miejskim.

— Jak się masz, poruczniku — rzekł do mnie, wyciągając rękę — wróć się do siebie, mam do ciebie interes.

Nie bardzo mi się to podobało, bo najprzód pożerany niecierpliwością i niepokojem pragnąłem jak najprędzej wydostać się na ulicę Czarną, a potem byłem prawie pewny, że strojny i wykwintny pan Sumiński przyszedł do mnie z jakiemś nowem poleceniem.

Dość więc chłodno i niechętnie poprosiłem gościa do swej izdebki, gdzie wszedł, kapelusza wcale nie zdjął, nieproszony siadł na krzesełku wygodnie, jakby się zabierał do dłuższej pogawędki i rzekł:

— Mam rozkaz pułkownika Traugutta do zakomunikowania panu.

— Jakiż to rozkaz?

— Żebyś dziś o godzinie siódmej wieczorem stawił się na ulicy Smolnej, w mieszkaniu pani Kirkorowej.

— O siódmej? — zawołałem — nie wiem, może nie będę mógł.

Uwagi tej mojej pan Sumiński nie podniósł; gryzł główkę swej laseczki i mówił dalej, patrząc w okno, jakby moich słów nie słyszał:

— Poleca się panu, abyś dorożką przyjechał, bo piechotą teraz niebezpiecznie jest chodzić.

Mówił to wszystko obojętnie, chłodno, zapatrzony gdzieś na błękitne niebo, widne przez okno, ale zaraz ni stąd ni z owąd ożywił się, poprawił na krześle, spojrzał na mnie i rzekł z właściwym sobie szyderskim uśmiechem:

— A muszę panu powiedzieć, że życie jego i wolność ma dla nas wysoką wartość i cenić je umiemy.

— Dziękuję za to, ale...

— Jeszcze słówko — przerwał mi — hasło dzisiejsze jest: »nie traćmy nadziei«.

To rzekłszy, powstał szybko, kiwnął mi głową i rzekł:

— Czekamy pana!

Podszedł parę kroków, lecz u drzwi się zatrzymał i po krótkim, widocznym namyśle, głosem przytłumionym syknął, bo nie powiedział:

— Pan, panie poruczniku, brałeś udział w ostatnim zamachu?

— Brałem — rzekłem otwarcie.

— To źle, to bardzo źle. Myśmy pana nie na to sprowadzili z obozu, byś stał się narzędziem w ręku stronnictwa wywrotu. Ale o tem potem. Teraz zalecam panu punktualność w wykonaniu rozkazu pułkownika Traugutta. Pozdrowienie i braterstwo!

Kiwnął głową jeszcze raz i wyszedł, zostawiając mnie zdumionego swą wizytą, rozkazem i napomnieniem. Stronnictwo wywrotu! Ja stę stałem narzędziem w ręku stronnictwa wywrotu! Nic z tego nie rozumiem i niech to wszyscy dyabli porwą!

Sumiński widocznie odjechał dorożką, bo dał się słyszeć turkot kół i ja, nie zastanawiając się dłużej nad tem, co mi gość powiedział, zajęty jedynie moimi zamiarami, zły, niezadowolony ze siebie, niespokojny nadzwyczajnie, wyszedłem także. Była teraz godzina piąta, miałem więc dość czasu, by pójść najprzód do Burczymuchy, a potem na ulicę Smolną. Rada jeżdżenia dorożką wydała mi się dobrą, ale wyszedłszy na ulicę, niestety! nigdzie żadnego wehikułu dostrzedz nie mogłem.

41. ŚMIERTELNY POŚCIG.

Szlifierz uliczny. — Ciągle za mną. — Próba zwłoki. — Biegiem naprzód. — W zamkniętej ulicy. — Osaczony. — Ostatni ratunek.

Ulica była pustą i cichą. Naprzeciwko, na placu zarosłym trawą, siedziało kilka kobiet z dziećmi, korzystając widocznie z ostatnich ciepłych blasków jesiennego słońca. Przechodniów prawie nie było; nieopodal tylko pod domami i parkanami pchał przed sobą wózek z kołem szlifierz uliczny i od czasu do czasu uderzał młotkiem w żelazną płytkę, wołając głosem nadzwyczaj przenikliwym i krzykliwym:

— Ostrzę noże, nożyczki, scyzoryki!

Odgłos uderzanej płyty żelaznej rozchodził się daleko w ciszy popołudniowej, zresztą było pusto i głucho. Uspokojony zupełnie, że dokoła niema nic podejrzanego, i że nikt mnie nie śledzi, ruszyłem krokiem żwawym naprzód. W chwili, gdy wyszedłszy z bramy, rozglądałem się po ulicy, szlifierz, dotąd idący po przeciwnej stronie, przeszedł leniwie i wolno na chodnik, którym ja się puściłem, tak, że musiałem się z nim skrzyżować. Pokornie usunął się przedemną na trotuarze wąskim pod parkan i bacznie mi się, gdym przechodził, przypatrywał, a nawet mię zaczepił słowami:

— Może pan ma co do ostrzenia?

— Nie mam nic — odrzekłem i poszedłem dalej, nie przywiązując żadnej wagi do tego spotkania.

Ale zagłębiwszy się w ulicę Złotą, tam, gdzie już ona staje się coraz ruchliwszą, przy wylocie na ulicę Marszałkowską, przywykły w tem wielkiem mieście, jak dziki Indyanin w puszczach Ameryki do baczenia na wszystko, zatrzymałem się na chwilę i rzuciłem okiem za siebie. Jakżem się zdziwił ujrzawszy mego szlifierza, jak w odległości może dziesięciu kroków toczy po bruku za mną swój warsztacik. Zastanowiło mię to nieco, ale mógł być prosty wypadek; tam, gdzie ja mieszkałem, wśród pustych placów i ogrodów, szlifierz nie miał nic do roboty i słusznie uczynił, że wracał do ludniejszej i ruchliwszej części miasta.

Wszakże jedna rzecz mi się nie podobała. Przez cały czas, gdy szedł za mną, przez całą długość ulicy Złotej, szlifierz mój ani razu nie zadzwonił w swój przyrząd, ani razu nie zawołał, że ostrzy noże, nożyczki i scyzoryki. Wszystko to jednak mogło być dziełem prostego przypadku, a mogło być i inaczej. Postanowiłem więc w każdym razie mieć na oku szlifierza a zarazem ile możności przyśpieszyć kroku.

Na ulicy Marszałkowskiej, na którą skręciłem, ruch był bardzo ożywiony, zwłaszcza o tej porze i przy tak pięknej, cichej pogodzie. Mnóstwo kobiet, bogato i modnie wystrojonych, dzieci, mężczyzn kręciło się i przewijało po chodnikach, tak, że częstokroć trudno się było przecisnąć; środek zaś ulicy zajęty był przez całe szeregi dorożek, powozów wszelkiego rodzaju, które z trzaskiem i turkotem pędziły. Patrząc na to wszystko i przewijając się wśród tego różnobarwnego tłumu, mówiłem sobie:

— Jeżeli mój szlifierz jest szpiegiem, to głupie sobie wybrał rzemiosło. Ciągnąć za sobą warsztat w takim tłumie! W takich warunkach nie sztuka umknąć!

Uszedłszy ulicą Marszałkowską kilkanaście kroków i umyślnie mieszając się między tłum, nagle pod pozorem przejścia na drugą stronę ulicy, zatrzymałem się i rzuciłem okiem za siebie. Ale nie potrzebowałem patrzeć, bo w tej chwili dobiegł do moich uszów przeraźliwy odgłos uderzeń młotkiem i motonny krzyk:

— Ostrzę, noże, nożyczki i scyzoryki!

Już teraz nie ulegało wątpliwości, że był to szpieg i był na moim tropie. Jeżeli mię nie aresztował w tej chwili, co mogło nastąpić bardzo łatwo, bo policyanci na wszystkie strony się kręcili, to dla tego, że chciał się dowiedzieć, dokąd ja idę i tym sposobem dwie pieczenie przy jednym ogniu upiec. W końcu jednak miał oczywiście zamiar mię przytrzymać. Miała się więc między nami rozpocząć zacięta walka chytrości, przebiegów, zręczności, walka dla mnie o śmierć i życie, dla niego o honor

i zaszczyty. Mnie szło o to, by szpieg nie wezwał pomocy policyantów odrazu, by się łudził ciągle nadzieją, że tropiąc mię zrobi jakie ważne odkrycia; głównie jednak należało wszelkich usiłowań dołożyć, żeby mu się wymknąć zupełnie. Wydało mi się to dość łatwo, lubo człowiek, śledzący mię teraz, musiał należeć do wyższej hierarchii szpiegowskiej, uchodził tam zapewne za tęgą głowę, skoro uciekł się do przybrania na siebie skóry szlifierza, gdyż zwykli szpiedzy z uderzającem niedołęstwem nie przebierali się wcale. Z tem wszystkiem uważałem mojego szlifierza szpiega za głupca; nikt przecież nie wybiera się na pościg tak lotnej zwierzyny, jak człowiek tropiony w wielkiem mieście, z warsztatem szlifierskim, sprzętem ciężkim, żenującym i przeszkadzającym. Pewny więc byłem, że, zachowując pewne ostrożności, zdołam się wymknąć szpiegowi, odwiedzić Burczymuchę i stawić się u pułkownika Traugutta. Miałem na to parę godzin czasu.

Jakże się jednak myliłem! Już na ulicy Marszałkowskiej, chcąc szybkością chodu wyprzedzić szlifierza, spostrzegłem, że tym sposobem nic nie dokażę, że mam do czynienia z graczem nielada. Pomimo niezwykle szybkiego mojego biegu, pomimo licznych ruchów na boki, których wyuczyłem się w tem życiu, pełnem niebezpieczeństw, szpiega miałem ciągle za sobą i ciągle w jednakiej odległości, tak, że mnie ani na chwilę nie stracił z oczu. Lękać się nawet począłem, czy nie straci cierpliwości i wyrzekając się swojej nadziei zrobienia za moją pomocą jakiego odkrycia, nie odda mię wprost w ręce policyi. Dałem więc pokój manewrom i udając, że nic nie spostrzegam, szedłem pogrążony w myślach, męcząc mózg nad wynalezieniem jakiego środka pozbycia się upartego szpiega.

Przyszedłszy do przecznicy, przecinającej ulicę Marszałkowską, miałem po prawej i lewej ręce piękną, szeroką Aleję Jerozolimską, wysadzoną drzewami i prowadzącą nad Wisłę, to jest tam, gdzie mieszkał Burczymucha. Ale ulica ta była dość pustą i o ukryciu się na niej nie mogło być mowy, a do Burczymuchy w tych warunkach, ze szpiegiem na karku iść było niepodobna. Mogłem co prawda skoczyć do dorożki, których tu mnóstwo stało, ale przypomniałem sobie, że każdy z tych powozów ma w tyle wielkiem pismem namalowany numer, że dość było dla szpiega zanotować sobie ten numer, by wiedzieć, gdziem jeździł. Przytem i szlifierz mógł rzucić się do innej dorożki i ścigać mię dalej, dając sygnały kręcącym się policyantom i zatrzymać mię odrazu. Dałem więc pokój temu zamiarowi i szedłem dalej ulicą Marszałkowską, jako najludniejszą, choć fatalnie prostą. *)

Dokąd dojdę, co zrobię, nie wiedziałem. Nie mogąc nic wymyśleć, z tą obojętnością, jaką we mnie wytworzyło nieustanne niebezpieczeństwo, z fatalizmem, ze co się ma stać, to stać się musi, szedłem dość wolno, czekając na jaki wypadek, któryby mię mógł wyswobodzić z rąk szpiega. Zachowałem jednak całą zimną krew i przytomność, i idąc rzucałem okiem na prawo i lewo, szukając owej sposobności, owego wypadku, niosącego mi zbawienie. Ale nic się takiego nie zjawiło. Słońce miało się ku zachodowi i nie widząc innego wyjścia, postanowiłem czekać zmroku, łudząc się nadzieją, że pod jego zasłoną zdołam jakimś sposobem wymknąć się temu szpiegowi.

Zatrzymywałem się często przy każdej szybie sklepowej, przy każdym przejeździe powozu ze strojnymi kobietami, oglądałem się za każdą parą sobą zajętą i ciągle widziałem mego szpiega za sobą. Czas upływał, słońce zaszło, cichy, senny półmrok zapanował na ulicy, na końcu której się znalazłem i albo zawrócić musiałem, bo rogatki było widać, albo coś zrobić stanowczego. Na prawo odemnie szła przecznica prawie pusta, niezabrukowana, parkanami otoczona, na końcu której mieścił się pałacyk kapitana Rotkircha. Zatrzymałem się na chwilę, rozmyślając, co mam zrobić, i postanowiłem rzucić się nagle w tę przecznicę, skorzystać z panujących tam mroków, bo latarni jeszcze nie zapalono, przeskoczyć jaki parkan i ukryć się w nim, lub działać stosownie do okoliczności.

Jakoż, nie wahając się, nagłym i szybkim zwrotem skoczyłem w tę uliczkę i puściłem się biegiem naprzód. Z początku po mej prawej i lewej stronie miałem niskie domki, ale dalej były parkany i puste place. Żywej duszy nie było tu widać i otucha we mnie wstąpiła, tak, że rozmyślałem nad tem, czy nie lepiej będzie zaczekać tu na szpiega i szelmę zdusić na śmierć. Biegnąc, słyszałem jak on biegł. Rzucił się za mną i ziemia, niebrukowana w tem miejscu, ale wysuszona i twarda, dudniała pod jego ciężkimi krokami. Był widocznie nielada wyścigowcem, bo z każdą chwilą przestrzeń, dzieląca nas, zmniejszała się, choć i ja nie szczędziłem nóg. Na nieszczęście poza parkanami wznosiły się domy i nie podobna było tu schronić się; dalej znów puste place, nie przedstawiające żadnej szansy ratunku. Biegłem więc, upatrując możności schronienia się i poważnie począłem rozmyślać nad stoczeniem śmiertelnego, ręcznego pojedynku ze szpiegiem, gdy ten nagle gwizdać począł.

Na to hasło z jednege domku, koło którego właśnie przebiegałem, wypadło kilku żandarmów. Na wszystkie strony poczęły się teraz rozlegać gwizdania i byłem osaczony w tej pustej, bezludnej uliczce, jak dziki zwierz w kniei. Przedemną stał, zagradzając mi drogę, pałacyk kapitana Rotkircha, jasno oświecony, pełen zapewne policyantów i szpiegów; za mną mój szlifierz, z boku żandarmi.

Co robić? Wytężywszy wszystkie siły, odsadziłem się nieco od ścigającej mię sfory i tuż prawie w pobliżu pałacyku, zapatrzony na to schronienie największego mego wroga, począłem rozmyślać nad mojem rozpaczliwem położeniem. A tymczasem ścigająca mię sfora zbliżała się coraz bardziej i już słyszałem ich ciężkie, ziejące oddechy.

Nie wiele myśląc, udałem się tam, gdzie wolne przedemną otwierało się przejście, to jest do pałacu Rotkircha. Spokojnie wszedłem na schody, otworzyłem drzwi i znalazłem się w sieni, w dobrze oświetlonej, w której na ławce pod ścianą drzemał żandarm, człowiek młody, tęgi i przystojny. Na hałas otwieranych i zamykanych drzwi, zerwał się na równe nogi i stał tak w postawie pełnej uszanowania, myśląc zapewne, że jestem jakimś dygnitarzem, skoro tak śmiało i do tego drzwiami frontowemi wszedłem do pałacu. Ja przez chwilę milczałem, zajęty śmiesznemi zapewne minami, jakie musieli zrobić ścigający mię, gdy ujrzeli, że wchodzę spokojnie do domu, zamieszkałego przez ich zwierzchnika. Niewątpliwie na kwintę spuścili nosy i przekonani byli, że zrobili krok w najwyższym stopniu fałszywy, gdyż ścigali albo jakiego dostojnika, albo tajnego ich kolegę szpiega.

— Czy kapitan Rotkirch jest w domu? — spytałem nakoniec żandarma.

— Jest.

— A gdzie jest?

*) Ulica Marszałkowska przecina prostą linią połowę Warszawy i ma milę długości.

— Racz pan powiedzieć, kto jesteś, a ja zamelduję.

— Nie potrzeba... Powiedz mi tylko, którędy mam iść. Sprawa jest bardzo ważna i nie cierpi zwłoki.

Wskazał mi ręką drzwi na prawo, ale mówił:

— Mam rozkaz nie wpuszczania nikogo bez zameldowania. Racz pan...

Ale już nie słuchałem. Słyszałem przez drzwi szklanne wchodowe wbiegającą na kamienne schody ganku całą sforę gończą i nie życzyłem sobie wcale z nią spotkania. Postanowiłem oddać się w ręce kapitana Rotkircha, szukać schronienia u jego ogniska.

Z początku nie myślałem o tem. Wszedłem do pałacyku, bo innego wyjścia nie miałem i oczywiście ani na chwilę nie przypuszczałem, że będę zmuszony oddać się w ręce mego najzaciętszego wroga. Sądziłem, że mi się może uda, natrafi się jaka okoliczność wymknięcia stąd cało i zdrowo, w czem, łudziłem się nadzieją, że dopomoże mi Józefina, którą spodziewałem się ujrzeć. W głębi duszy śmiałem się ze zdumionych min ścigającej mię bandy i nie sądziłem, by ona ośmieliła się zbliżyć do pałacu. Ale, jak powiadam, nagle usłyszałem tupot ich nóg, wpadających na kamienne schody i widoczną było rzeczą, że aż tu chcą mię ścigać. Wtedy otworzyłem wskazane mi drzwi i znalazłem się w pokoju kapitana Rotkircha.

Siedział on wprost drzwi, na wielkim fotelu, z nogami wyciągniętemi i ubranemi w pantofle krzyżowej roboty. Owinięty był w szlafrok, na głowie miał czerwony fez turecki ze złocistym kutasem, słowem w pozycyi miękkiej i wygodnej dostatniego mieszczanina, palił fajkę na długim cybuchu i ze słodkim spokojem oddawał się czytaniu gazety. Obok niego na biurku stała wielka lampa, ale przyćmiona zielonym abażurem, tak, że po całym tym pokoju błąkały się zielonawe półblaski i półcienie. Może wskutek tych półcieni, może istotnie z powodu choroby i rany, zadanej mu przez biednego Karola, dość, że kapitan był blady, wyschły, tylko wielkie, czarne, dzikie oczy z pod krzaczastych brwi patrzały z jeszcze większą dzikością i gorączkowym jakimś ogniem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dziesięciolecie Ojca świętego.

W dniu 4 sierpnia b. r. upływa 10 lat od chwili wybrania Piusa X papieżem. Obecny papież nazywał się ks. Józef Sarto, dopiero po ogłoszeniu go papieżem przybrał imię Piusa.



Ojciec św. cały rok oddaje się żmudnej pracy, w tym roku jednak po przebytej chorobie wedle wszelkiego prawdopodobieństwa będzie miał wakacye.

Papież zamieszka mianowicie przez dłuższy lub krótszy czas w małym pałacu, znajdującym się w ogrodach Watykańskich pod wieżą Leona XIII; jak wiadomo i Leon XIII przebywał tam w ostatnich latach swego życia przez pewną część lata.

Gdy w Watykanie panował spokój, gdy biura z powodu okropnego gorąca były po większej części zamknięte, a czasem też odmawiano zbiorowych wielkich audyencyj; Papież Leon III bawił całymi dniami, a czasem i w nocy, w historycznej wieży, która się wznosi w watykańskim ogrodzie i która przez niego samego została zamieniona w obserwatoryum austronomiczne.

Kilka pokoi niewielkich, ale chłodnych zostało urządzonych w odpowiedni sposób, a obok małego pałacu, na zboczu, prowadzącem do kościoła św. Piotra, kazał papież Leon XIII założyć piękną winnicę; tę winnicę pielęgnował Papież ze szczególną starannością, gdyż przypominała mu ona jego młodziencze lata, gdy jeszcze mieszkał na Carpineto.

Po śmierci Leona XIII zaniedbano tę letnią rezydencyę i usunięto wszystkie meble z pokoi i ozdoby ze ścian. Kilka pokoi zostało urządzonych jako boczne sale obserwatoryum.

Od pewnego czasu jednak we wnętrzu małego pałacu wre robota; odnawiają ściany w pokojach, ustawiają piękne meble; można tedy napewno twierdzić, że przygotowania te czynione są z powodu zamierzonego przeniesienia się tam Papieża na lato.

Dawniej nie chciał Papież słuchać rad lekarzy i otaczających go osób, które go namawiały, by używał w gorącej porze roku trochę spokoju i przeniósł się do chłodnych sal małego pałacu; teraz widocznie zmienił zdanie.

Niezbyt dawno odbyło się w Watykanie kinematograficzne przedstawienie, na którem Pius X był obecny. Nie pierwszy to raz podobne widowisko miało miejsce w papieskim pałacu i poświęcenie wieży kościoła świętego Marka w Wenecyi, na którem Papież byłby tak chętnie obecny, pokazano Piusowi X w kinematografie. Wyświetlane zaś obecnie obrazy przedstawiały eucharystyczne kongresy w Londynie, Wiedniu i na Malcie. Papież ogromnie się nimi zainteresował i wyraził życzenie zobaczenia fotografii ważniejszych momentów z kongresów. Życzenie jego spełniono natychmiast, a równocześnie proszono, by pozwolił przedstawić sobie główne sceny z kongresów w kinematografie. Pius X był bardzo zadowolony, widząc olbrzymie tłumy ludu, biorącego udział w ogromnych, końcowych procesyach kongresów.

Na przedstawieniu, które trwało prawie godzinę, były obecne obydwie siostry i siostrzenica Papieża oraz kilka zaufanych osób z jego dworu.

Zabójca dyabła.

O 120 kilometrów na zachód od Warszawy, a dwa razy, bez mała, tak daleko na północ od Krakowa, leży miasto Łęczyca; za czasów Rzeczypospolitej polskiej stolica województwa łęczyckiego. Przed laty miasto to otoczone było dokoła bagnami, przez które prowadziły niezbyt szerokie drogi; zdarzało się więc nieraz, iż jaki taki, jadąc z miasta wieczorem lub w nocy, zwłaszcza po targu z zaprószoną czupryną, zjeżdżał z drogi, a wpadłszy w błoto, bagniska, biedował w niem często i do dnia białego. Było to całkiem naturalnem, że jednak ludzie zwykli we wszystkiem doszukiwać się jakiejś nadzwyczajnej i nadnaturalnej przyczyny, tak i tutaj wykomponowali sobie, iż w łęczyckiem bagnie siedzi dyabeł i że to on ludzi tumani i do błota wprowadza.

Wynaleźli całą historyę dla tego dyabła, a nawet nazwisko; według tradycyi bowiem piekielny ten parobek miał się zwać »Boruta«.

I bardzo wygodnie było ludziom z tym imcipanem Borutą, gdyż, jak się przebrało miarkę przy pijatyce i zamiast w łóżku nocowało w błocie, było na kogo winę zwalić. Gdy w roku 1791, dnia 3 maja, naród polski nadał sobie nową konstytucyę, która wszystkie stany zbratać i porównać miała, król pruski, który Polaków zachęcał do uchwalenia tej konstytucyi, a następnie winszował jej narodowi, i uroczyście przyrzekł przysłać swe wojsko w pomoc, gdyby przyszło do wojny z Moskwą; skoro naprawdę do wojny tej przyszło, porozumiał się z carycą Katarzyną II, i zamiast pomagać Polakom, wpadł do naszego kraju i zabrał kilka województw a między niemi i łęczyckie.

Wskutek tego skasowano w Łęczycy polskie władze, a w ich miejsce nadesłano pruskich urzędników.

Urzędnicy ci, z których najstarszy zwał się »landrat«, (po polsku; krajowy radca), nosili się wadług ówczesnej niemieckiej mody. Na nogach mieli trzewiki i pończochy aż do kolan, wyżej krótkie spodenki, frak, z pod którego wyłaziła, niby ogon, szpada, to jest pałasz prosty i spiczasty jak rożen. Włosy czesali w tył i splatali w warkocz, jakby jaka dziewucha; lecz warkocza tego nie spuszczali na plecy, tylko chowali w woreczku, wiszącym z tyłu głowy i wstążką związanym. Na taką fryzurę wreszcie kładli kapelusz o trzech rogach. W ciężkich tych czasach, kiedy tak po cudacku postrojone »landraty« chciały nas przerabiać na Niemców, ze wsi Topoli, tuż za bagnem koło Łęczycy leżącej, przyjechał na targ do miasta młody i wesoły gospodarz.

Sprzedaż poszła mu dobrze, potem nawinęło się kilku znajomych, co od kieliszka nie stronili, tak, że już późna noc była, gdy wreszcie siadł na wóz i pojechał do domu.

Noc była jasna, księżyc świecił wspaniale, więc nasz gospodarz pośpiewywał wesoło i, z fantazyą wywijając batem, pędził drogą przez bagno ku wsi Topoli.

Na pół drogi, właśnie w miejscu, gdzie Boruta zwykł był, według powszechnego mniemania, »puszczać tumany«, najechał nasz zuch na postać, na widok której włosy mu dębem powstały na głowie. Z wielkiego strachu wstrzymał konie i przeżegnał się, ale straszna postać nie znikała, tylko szła sobie drogą najspokojniej, nie zważając wcale na niego.

— Przecież to chyba Boruta we własnej osobie — pomyślał gospodarz — i trójgraniasty kapelusz i frak i kopyta, z pod fraka nawet ogon wystawał.

Gospodarz był odważny a chłop setny, to też nie wiele myśląc, wyrwał drabinę z wozu i jak nią nie machnie, tak mniemany dyabeł krzyknął jeno i fajt na ziemię. Święcie przekonany, że zabił dyabła, rozradował się nasz Topolanin, a chcąc, by przysługa, jaką przez to ludzkości wyświadczył, tem pewniejszy miała skutek, wziął go za nogi i wrzucił do bagna.

Potem zadowolony, jak po spełnieniu dobrego uczynku, popędził prosto przed karczmę w Topoli i rozpowiedział wszystkim tam zgromadzonym o swoim bohaterskim czynie.

Podwójna radość zapanowała w Topoli: raz, że już Boruta nie będzie »puszczał tumanów«, a drugie, że przyłożył się do tego Topolanin.

Za to nazajutrz w pruskiej kancelaryi w Łęczycy dziwili się urzędnicy, że już dawno urzędowa godzina minęła, a pana »landrata« nie widać, gdy zaś, jak to u Niemców zawsze bywa, mieli moc papierów do podpisywania, posłali do domu »landrata« dowiedzieć się, co to znaczy. Tam powiedziano im, że »landrat« wczoraj wieczór wyszedł na przechadzkę i więcej nie wrócił...

Landrat był bardzo regularnym człowiekiem. Zawsze o jednym i tym czasie wstawał, jadł, szedł do biura, potem w biurze pracował, szedł na przechadzkę, a wróciwszy do domu, palił fajkę i kładł się spać.

Każda z tych czynności miała swój czas. Landrat na minutę go nie chybiał. W głowę przeto zachodzili Niemczyska, co się z ich przełożonym stać mogło?

Wtem dowiedzieli się, iż po mieście rozpowiadają, że włościanin z Topoli dyabła zabił. Zastanowiło to Prusaków i zaraz wysłali komisyę do Topoli.

Stanąwszy na miejscu, komisya zawołała wójta i pyta go:

— Czy to prawda, że tu z waszej wsi zabił ktoś dyabła?

— A jakże prawda — odpowiada rozradowany wójt, i każe wołać naszego zucha.

Ten przychodzi w czapce na bakier z gęstą miną, jak człowiek, który wie, że zrobił rzecz dobrą i że go za nią nagroda nie minie.

— Tyś zabił dyabła? — pytają go Prusacy.

— Ja, proszę prześwietnej komisyi – odpowiada pewny siebie.

— A cóżeś z nim zrobił?

— A cóżby? Wziąłem za nogi i wrzuciłem do bagna; jeszcze tam pewnie leży.

— A możesz pokazać to miejsce?

— Dlaczego nie. Z ochotą.

Biorą przeto chłopa i jadą z nim na miejsce, gdzie dyabeł poległ; szukają w bagnie, i po dłuższem szperaniu znajdują trzewiki. Ciągną za trzewiki i wyciągają zaginionego »landrata«...

Zamiast nagrody niemało miał kłopotu nasz dyabłobójca. Wreszcie jednak, gdy się dowodnie okazało, iż nie miał złego zamiaru, puszczono go na wolność.

Aby zaś na przyszłość podobnym wypadkom zapobiedz, wydali Prusacy do wszystkich gmin okólnik, w którym wszech wobec i każdego z osobna poucza no, że jeśli spotka takiego, co ma trójgraniasty kapelusz, frak, trzewiki, pończochy i coś podobnego do ogona, to niechaj go nie zabija, bo to nie żaden dyabeł, tylko — »landrat pruski!«

Franciszek Filek.

CZARNA ZARAZA.

XVI. Zniknięcie hrabiego.

Hrabia w wilczej skórze. Duży worek. Krwawa smuga. Głęboki otwór. Nad przepaścią.

Ten, którego miałem za umierającego, szedł teraz krokiem pewnym, odziany w olbrzymią wilczą skórę z wierzchnią jej szczęką nasuniętą na czoło, jak przyłbica, z łapami na ramionach i ogonem, wlokącym się po ziemi.

Na nogach miał ciżmy skórzane; srebrna spinka w kształcie pazurów przytrzymywała mu skórę u szyi, a wszystko w jego powierzchowności, z wyjątkiem wzroku dziwnie nieruchomego, znamionowało władcę i pana nawykłego do rozkazów.

Wobec tego zjawiska, dziwniejszego nad wszystko inne, zmąciło mi się w głowie. Ucieczka nie była możliwa. Miałem jeszcze tyle przytomności umysłu, iż rzuciłem się w zagłębienie okna.

Hrabia wszedł, patrząc na starą ponuro. Przemówili ze sobą kilka słów zniżonym głosem, tak zniżonym, że nic z tej rozmowy usłyszeć nie mogłem, ale gesty ich były wyraziste: stara wskazywała łóżko.

Zbliżyli się do kominka na palcach. Tam Czarna-Zaraza, uśmiechając się, rozwinęła duży worek.

Zaledwie hrabia zobaczył ten worek, poskoczył i w jednej chwili był już przy łóżku, oparł na niem kolano. Firanki zakołysały się, postać jego znikła pod ich fałdami. Widziałem tylko jedną jego nogę, opartą o kamienną posadzkę i ogon wilczy, miotający się to na prawo, to na lewo.



Czarna-Zaraza, uśmiechając się, rozwinęła duży worek.

Wyglądało to na scenę mordu.

Z kolei stara przybiegła, rozwijając worek.

Firanki poruszyły się jeszcze, rzucając cień na ściany. Co jednak było najokropniejszego w tem wszystkiem, to wrażenie krwawej smugi, jakie na mnie zrobił przyczepiony do obuwia hrabiego śnieg, który topniał w gorącu i czarniawym wężykiem płynął zwolna ku kominkowi.

Patrzyłem na to zlodowaciały ze strachu, gdy zrobił się ruch wielki. Hrabia i stara pakowali prześcieradła do worka, wpychając je z pośpiechem psa, grzebiącego ziemię, poczem pan na Nidecku zarzucił ten przedmiot niekształtny na ramię i skierował się ku drzwiom. Koniec prześcieradła wlókł się za nim. Stara przyświecała mu pochodnią i wyszli.

Kolana uginały się podemną; szeptałem po cichu modlitwę.

Nagle, pchnięty nieprzepartą ciekawością, rzuciłem się za niemi. Chciałem przebiedz szańce, gdy naraz głęboki otwór ukazał się tuż przy moich stopach. W głębi jego były schody kręte i światło pochodni migało na nich, obracając się dokoła kamiennego słupa coraz niżej... niżej...

Zszedłem i ja z kilku pierwszych schodów, kierując się za tem dalekiem światłem.

Nagle światło znikło: hrabia i stara dosięgli dna przepaści. Ja, trzymając się ręką słupa, zstępowałem wciąż powoli, pewien, że, gdyby innego wyjścia nie było, będę mógł tą samą drogą do wieży powrócić.

Wkrótce schody się skończyły. Rozejrzałem się dokoła i spostrzegłem na lewo promień księżycowy, drżący w otworze małych drzwiczek, zasłoniętych krzakami. Rozsunąłem tę zaporę i, wyszedłszy, znalazłem się u stóp wieży Hugona.

Ktoby przypuścił, że takie wejście prowadziło do zamku? Skąd stara o niem wiedziała? W tej chwili nie zastanawiałem się nad temi pytaniami.

Olbrzymia płaszczyzna rozciągała się przedemną, oświetlona, jak w biały dzień. Z prawej strony linia Czarnego Lasu ze swymi szczytami, wąwozami i parowami rozwijała się w nieskończoność. Powietrze było zimne i spokojne. Uczułem się orzeźwiony tą ostrą atmosferą.

Rzuciłem wzrokiem dokoła, aby się przekonać, w jaką stronę udał się hrabia ze starą. Wyniosłe ich postacie wstępowały zwolna na wzgórek o dwieście kroków odemnie, rysując się wyraźnie na tle rozgwieżdżonego nieba.

Dopędziłem ich wkrótce. Hrabia szedł powoli; prześcieradło wlokło się za nim. Ruchy jego i starej miały w sobie coś automatycznego.

Postępowali ku Altenbergowi, idąc na przemiany w cieniu lub w pełnem świetle, bo księżyc świecił nadzwyczajnym blaskiem. Kilka chmurek goniło za nim, jakby usiłując go pochwycić w ciemne swe objęcia, ale wymykał im się zawsze, a zimne jego promienie przeszywały mnie do głębi, jak ostrza stalowe.

Chciałem się wrócić, ale niepojęta siła pchała mnie naprzód.

Dziś jeszcze widzę tę ścieżkę, wijącą się wśród zarośli Czarnego Lasu, słyszę śnieg, skrzypiący pod memi stopami, słyszę lekki powiew nocny, szemrzący wśród suchych gałęzi; widzę te dwie milczące postaci i siebie, idącego za niemi, i dotąd zrozumieć nie mogę, jaka tajemnicza potęga kierowała mną wtedy. Weszliśmy wreszcie w głąb lasu pod wyniosłe, ogołocone z liści buki. Olbrzymie ich konary rzucały długie cienie na zaśnieżoną drogę. Chwilami zdawało mi się, że słyszę jakiś szelest za sobą. Odwracałam głowę z pośpiechem, ale nic widać nie było.

Dosięgnęliśmy skał na szczycie Altenbergu: poza temi skałami szumi wodospad Schneebergu, ale w zimie wodospady nie szumią; milczenie natury nie ma swego odrębnego głosu, jakim tak silnie na wiosnę przemawia do duszy człowieka: niema w niem ani szmeru liści, ani plusku wody, ani świergotu ptasząt, jest tylko martwota, czyli to, co najbardziej na świecie przeraża.

Hrabia i stara znaleźli rozpadlinę w skale i weszli od razu bez wahania, z pewnością nie do uwierzenia; co do mnie, musiałem się czepiać krzaków, żeby za nimi podążyć.

Dosięgłszy szczytu skały, znalazłem się o trzy kroki od nich, a z drugiej strony zobaczyłem przepaść bezdenną. Na lewo wodospad Schneebergu, jakby skamieniały w chwili skoku, wisiał w powietrzu masą lodową, po której ślizgały się promienie księżycowe. Ten widok, połączony z obecnością tych dwóch istot milczących, biorących się do strasznego dzieła z automatycznym spokojem, przejął mnie na nowo strachem, który cała natura zdawała się podzielać.

Hrabia zdjął ciężar z ramienia; on i stara kołysali go chwilę nad przepaścią, poczem białe prześcieradło rozwinęło się w powietrzu, niby łabędź raniony z rozpostartem skrzydłem, opuszczało się coraz niżej... niżej... aż znikło w czarnych głębiach przepaści.

Mordercy pochylili się nad nią.

W tej chwili chmurka, która od niejakiego czasu zbliżała się do księżyca, osłoniła go błękitnawą oponą.

Stara, trzymając hrabiego za rękę, pociągnęła go z szybkością na dół.

Chmura stłumiła zupełnie światło księżyca. Nie mogłem postąpić kroku bez narażenia się na spadnięcie w przepaść. Po niejakim czasie wyjaśniło się znowu. Spojrzałem. Byłem sam na skale, stojąc w śniegu po kolana. Zdjęty przerażeniem, zsunąłem się na dół i zacząłem biedz ku zamkowi z takiem uczuciem, jak gdybym sam zbrodnię popełnił.

Co do hrabiego i starej nigdzie ich widać nie było.

Dokądże poszli? Jakim sposobem zniknęli?

(Ciąg dalszy nastąpi).

SONET WIEJSKI.

Kiedy się wsłucham w tę przyrody ciszę,
Kiedy jej ciche zrozumiem rozmowy,
Kiedy jej oddech każdy nawet słyszę,
Gdy na me słowa swemi mówi słowy,
Kiedy pojmuję wietrzyk, co kołysze
W jesieni smutne, płaczące dąbrowy
I wichr, co wyje i zawiścią dysze
W ponury, mroźny, biały dzień zimowy;
Gdy w swych uczuciach jej uczucia złożę,
Rozmowy słyszę, jakie w nocy wiodą
Gwiazdy z księżycem — powiem wtedy może:
„Jakże ty wielka jesteś o przyrodo“,
Lecz powiem pewniej: „Większyś Ty, o Boże!“

X. z Hussowa.

W drodze do obozu.

(Obrazek z powstania styczniowego).

IV. Na placówce.

Staszów, mieścina oddalona od granicy galicyjskiej o dwie mile, była jednem z ważniejszych miejsc, które się chlubnie zapisały w historyi powstania styczniowego w województwie sandomierskiem. Tutaj po zwycięskiej bitwie pod św. Krzyżem dnia 14 lutego nadciągnął ze swoim korpusem Langiewicz i zająwszy Staszów, odpoczywał z wojskiem, reorganizował swój oddział, który, dzięki ochotnikom z miasta i okolicy, wzrósł do tysiąca ludzi.

Dnia 17 lutego napadli z nienacka na Staszów Moskale, lecz zostali sromotnie odparci przy pomocy Staszowian. — »Towarzysze broni! — pisał Langiewicz po tem zwycięstwie w rozkazie dziennym — jesteście kilkanaście dni pod bronią, a odwaga wasza, spokojność, karność, wesołość wasza i trwoga Moskali, nakazują mi sądzić, że jesteście osiwiałymi w boju żołnierzami. Kraj, który ma takich żołnierzy, musi być wolnym i potężnym«.

Po wymarszu Langiewicza, w następnych miesiącach partyzantki, dochodziły do Staszowa często wieści o bliskich potyczkach, zwycięskich, już to bolesnych dla Polaków. A każda taka wiadomość budziła ducha w gnębionym narodzie. Coraz gęściej zaczął stawać w szeregach obok szlachty i uczącej się młodzieży polski lud, a mieszczaństwo, słysząc o krwawych rzeziach, które urządzali Moskale po wsiach; czynnie w odwecie wspomagali powstańców.

To też nic dziwnego, że Staszowianie z zapałem przyjęli plan Gwozdeckiego, i nie zważając na skutki swego kroku, stanęli do wali. A że z potyczkami byli oswojeni, czekali na placówkach bez trwogi, gorączki, niepokoju rychło na cel nadjedzie żołdak rosyjski, usłyszą umówione hasło dowódcy...

V. Bitwa.

Tymczasem patroli nie śpieszyło się wcale do Staszowa, bo żołnierze, zawiadomieni o przejściu kilku powstańców, pewni byli, że zbiegowie ukryli się w zbożach, nie przypuszczali bowiem, by w tak szczupłej liczbie weszli w jasny dzień do miasta, gdzie wprawdzie załogi rosyjskiej w tym czasie nie było, ale natomiast mieszkali tam żydzi, którzy o przybyciu partyzantów nie zaniedbaliby donieść kwaterze w Osieku. Dlatego zupełnie spokojnie tratowali po polach, przetrząsnęli lasek zabudzki i dopiero koło południa zwrócili się kłusem w kierunku Staszowa, w aleję nadwiślańską. Nie zdziwiła ich bynajmniej cisza miasteczka, wszak byli przyzwyczajeni do tego, że na ich widok wszystko uciekało i kryło się, nawet psy, do domów.

Nie zauważywszy więc nic podejrzanego — na jednej z kamienic powiewała carska chorągiew — oddział konnicy na wstępie w ulice zwolnił biegu, zrównał się w dwójki i wolnym krokiem posuwał się ku rynkowi.

Chwila niezmiernie długa — trzask podków końskich o kamienny gościniec — rozmowy i głośne śmiechy żołdaków.

Wtem kruk złowrogo zakrakał i gruchnął strzał na tyłach szeregów — za nim drugi, piąty. dziesiąty — kanonada na całej linii, z obu stron drogi... Zakotłowało na gościńcu, spłoszyły się konie, kilku kozaków spadło na ziemię, inni w przestrachu, przeczuwając tylko napastników, ukrytych w zaroślach, nastawili piki do ataku.

Moment — druga salwa z różnych punktów — a po niej runęło sześć koni; równocześnie z gęstwi-

ny z okrzykiem: »Niech żyje Polska!« wypadli kosyniery i poczęli rąbać broniących się Moskali tak zaciekle, że zwaleni z koni jeźdźcy wnet legli pod ciosami kós.

Nagle reszta oddziału, widząc tak nędznych przeciwników, zwraca się z dobytemi szablami na kosynierów — ci atoli w tej chwili, opuszczając gościniec, wbiegają w gąszcza, gdzie strzelcy z pośpiechem nabijają dubeltówki. Wówczas Moskale, spostrzegłszy, w jak nierówną wdali się walkę z powodu przewagi liczebnej przeciwnej strony i fatalnej pozycyi miejsca, gdyż konie, przestraszone strzałami, nie chciały wejść w gęstwinę, rejterują galopem z alei w pola. Za uciekającymi posypało się sporo kul, z których, niestety, tylko dwie zraniły najbliższe konie.

Wtedy kilku kosynierów biegnie do dźwigających się Moskali, wywiązuje się zażarta walka, bo żołnierze bronią się pikami. Gdy jeden z powstańców legł krwią zalany od pchnięcia piki, Gwozdecki, jak lew rozjuszony, wpadł na Moskala i kolbą dubeltówki roztrzaskał mu głowę — drugiego na śmierć usiekł Przewoźnik.

Z całej patroli, liczącej 25 koni, uszło z życiem tylko trzech jeźdźców. Z naszych jeden został zabity, Michał Samolej, z oddziału Przewoźnika i kilku lekko rannych.

Na cmentarzu staszowskim, we wspólnym grobie, złożono zwłoki ciemięzców ziemi polskiej i wiernego jej syna.

VI. Dwie fury.

Około 4 godziny po południu wyjechały galopem ze Staszowa dwie fury, napełnione mężczyznami i kobietami w kierunku Klimontowa. Wśród podróżnych rozpoznajemy twarze: na pierwszym wozie kieruje końmi Gwozdecki, a obok niego siedzą poprzebierani za kobiety powstańcy z Galicyi. Na drugiej furmance jakiś parobczak, odświętnie ubrany, zacina chłopskie szkapięta, tuż przy nim potężny Przewoźnik wstaje co chwila i rozgląda się po okolicy, podczas gdy inni towarzysze, trzymając w rękach duże różańce, przybierają ponure miny i płaczliwie zawodzą. Gdy któraś z kobiet głośniejszy wyda okrzyk lub westchnie żałośnie — cała fura napełnia się śmiechem i dowcipami.

— Gdybym, kumie, nie wiedział, żeście to wy, tobym myślał, że moja baba płacze — takusieńko jak wy teraz, płakała ona niegdyś na pogrzebie nieboszczyka ojca.

Tymczasem z gościńca, ocienionego z obu stron szeregiem brzóz i topoli, zjechano na polną, otwartą dróżynę.

Nagle pierwszy wóz stanął, gdy dopędził go drugi, na gwałtowny znak Gwozdeckiego, natychmiast całe towarzystwo z pośpiechem zeskoczyło na ziemię.

Z boku wsi Mokrej Wólki, na majaczącym w oddali wzgórku, który zaczynał lasy sandomierskie, ukazała się kolumna piechoty rosyjskiej, poprzedzona oddziałem konnicy i bateryą armat w pośrodku. Cztery roty piechoty, dwa szwadrony jazdy oraz pięć armat szło wprost na powstańców w rozsypanych szeregach!

Położenie garstki ochotników było bez wyjścia! Marsz naprzód: prowadził ich na niechybną zgubę. Wracać do Staszowa? Tam pewnie się zbliża cała załoga z Korczyna, powiadomiona przez jeźdźców, ocalonych w potyczce, o powstańcach w mieście. Ucieczka na boki? chybiłaby celu, bo konie, zmęczone szybką jazdą, już ustawały, a skrzydła korpusu wojska rosyjskiego rozciągały się szeroko po polach.

Wtem koło wozów, które stanęły za bujnem żytem, dziwna rozgrywa się scena.

Stary, przygarbiony, siwy jak gołąbek, Wojciech Lany, wdziewa na siebie długą koszulę, z wozu dobywa duży, drewniany krzyż i staje na przodzie...

Michał Koperny, Jam Doktor, Klimek Czaja i Staszek Głąbik, ubrani również w białe komeszki, wyciągają z wozu z pod słomy czarną, olbrzymią trumnę, biorą ją nabożnie na silne ramiona i ustawiają się za krzyżem — dokoła po bokach gromadzą się mężczyźni i kobiety-płaczki. Za nimi wozy: na jednym z nich siedzi Jerzy Jasieński, przebrany po zgoleniu wąsów na sędziwą staruszkę, niby to wdowę po niesionym nieboszczyku i płacze, zawodzi, a chwilami wybucha serdecznym spazmem śmiechu.

W kilku minutach, gdy orszak pogrzebowy był gotowy, ruszono w drogę w kierunku Klimontowa, gdzie nad dachy domów wznosiła się wieża parafialnego kościoła. Wówczas drużyna, przesuwając w palcach paciorki, poczęła śpiewać różaniec. Przewoźnik donośnym, rzewnym, dziadowskim basem intonował początek »Zdrowaś Marya«, a chórem, ile możności kobiecymi głosami, kończyła kompania.

Po szerokich polach, po przestronnych łąkach z falami zbóż i traw rozpływała się daleko żałosna melodya pogrzebowego pochodu. A w tym śpiewie tyle było bólu, rozpaczy i niekłamanej trwogi, tyle nieopisanej niepewności, co przyniesie złowróżbne spotkanie wojska nieprzyjacielskiego...

Więc na słowa »Jezus, Marya«, wymawiane w Pozdrowieniu Anielskiem, oczy powstańców ustawicznie zwracały się na krzyż Chrystusów, na ten zwycięski znak dobrego nad złem, małych i nieszczęśliwych nad ciemięzcami. A z krzyża przenosili wzrok na trumnę: wszak w tej ciężkiej trumnie nie niesiono zwłok — tam ukryta była ich broń, dubeltówki, karabiny i pałasze, zdobyte na Moskalach w ostatniej potyczce.

Trumna! Na jej widok każdy z powstańców drżał, bladł, serca biły im w piersiach jak młoty, boć przecież zdawali sobie sprawę z tego, co ich czeka, gdyby szpiegowskie oko kozaka dostrzegło, co ona zawiera. Prawda, że plan zmylenia czujności wrogów przez urządzenie pogrzebowego pochodu był świetny, lecz czy z pierwszej próby wyjdą uczestnicy cało? Nuż żołnierze, ciekawością zobaczenia nieboszczyka wiedzeni, każą podnieść wieko — o! wtedy... nim zdołają oręż pochwycić z trumny, ulegną przemocy bezbronni...

(Dokończenie nastąpi).

Ks. Paweł Wieczorek.



BĄDŹ JAKO GWIAZDA.

Hej, dziewcze hoże! na ranną rosę
Z porannem słońcem wybiegaj bose
I, póki służą młodości lata,
Używaj życia, używaj świata!

Kąp się w promieniach jasnego słońca,
Kąp się w porannej rosie bez końca:
Używaj życia dopókiś młoda,
Zanim ci życie łez czarę poda!

W szczęściu niech młodość twoja się prześni;
Piosenką wtóruj słowiczej pieśni,
Naśladuj biegiem loty motyle;
Wszak młodość szczęścia ma w sobie tyle!

Niech się świat szczęściem twojem promieni,
Niech się przy tobie w raj jeden zmieni;
Bądź jako gwiazda na jasnem niebie:
Niech każdy tęskni, wzdycha do ciebie!

Antoni St. Bassara.



Mój gospodarz, gróbarz, to juz zacynają na wielgiego pana chorować: kupili se fajkę z cybuskiem, skrabackę pod syję a wkiejsik nawet na omastę konia.

— Wicie wy, gospodarzu, — pytam — na co Pan Jezus stworzył konia?

— Cobym nie wiedział — odparli — do roboty!

— Zgadliście, — ja na to — ale powidzcie mi teraz, cem się różni koń od osła?

— No to przecie kuzden wie! — padają gospodarz. — Koń jest większy, zgrabniejsy i więcy kostuje.

— Słuśnie prawicie, aleście najwazniejsy różnice nie pedzieli, bo nie wicie.

— A no jakaze to? — pytają gróbarz.

— A no ta, — ja jem na to — ze osieł moze jeździć na koniu. (Broń Boże, gospodarzyku, nie mówię tego do was!), ale jesce nikt nie widział konia, zeby jeździł na ośle.

— Bodaj cię — rozśmiali się gospodarz, ale się nie gniwali, jako ze człek rozumny o figle nigdy się nie będzie gniewał.

— Ale kiedyś ty taki mądry — pocęli gospodarz po kwili — to powiedz mi, kiedy koń widzi tak z tyłu, jak i z przodu?

— A toście trafili — padom jem — ja to jesce w maleńkości swysoł od Kaśki: wtedy, jak jest na oba ślipia ślepy.

— Twoja prawda! — przyznali mi gospodarz. Ale kiedy zesło już na zgadywania, to powiedz mi, który rzemieślnik był pirwsy na świecie?

— Który?... który?... — zacąłem się jąkać, ale dokumentnie nie wiedziałem. Miałem powiedzieć, ze rolnik, bo juz Adom w raju siał zyto, alem se przypomniał, ze rolnik to nie rzemieślnik. Jako ze nie lubię gadać tego, cego nie wiem, więc pedziałem, ze nie wiem.

— Acha! złapałem cię — roześmiali się gospodarz. Przeciez gancarz, bo pirsy Pan Bóg lepił człowieka z gliny, jak gancarz.

— Jušci — rzekłem — prawdziusieńka prawda.

— No, ale powidzcie mi, jaka jest róznica między dochtorem a gróbarzem?

— Pójdzies! — padają gospodarz — to przecie nie zadna zagadka. Doktór licy chorych za piniądze, a gróbarz chowa umrzyków, takze nie zadarmo.

— A widzicie, coście nie zgadli: dochtór za piniądze wyprawia zywych na tamten świat, a gróbarz umarłych.

— Takoj niby tak! — rzekli — gróbarz — i zamyślili się okrutnie.

— A powidzcie mi jesce, który z posłów najmądrzejszy — zapytałem po kwili.

— La ludowców Stapiński, la socyjalistów Daszyński, la wszechpolaków Głąbiński, la stańcyków Jaworski, a la podolaków Abrahamowicz.

— Nie zgadliście, bo najmądrzejsy wszyćkiemby dogodził; a jesce się taki nie urodził, coby wszyćkiem dogodził.

Z TYGODNIA.

O zwołanie Sejmu galicyjskiego. Z niektórych stron podnoszono myśl, aby Sejm krajowy był zwołany z początkiem września i żeby równolegle z rokowaniami o reformę wyborczą były przeprowadzone obrady nad sposobami zapobieżenia nędzy w kraju, spowodowanej powodziami i wylewami, oraz inne sprawy. Zdaje się jednak, że do tego nie przyjdzie, gdyż jest obawa, że Rusini przed ugodą polsko-ruską w sprawie reformy wyborczej do żadnych obrad by nie dopuścili. Rusini grożą bowiem, że przed zgodą na reformę wyborczą nawet do ukonstytuowania się Sejmu nie dopuszczą. Wobec tego 22 sierpnia, po powrocie namiestnika z urlopu, zaczną się rokowania o reformę wyborczą, a gdyby zgoda nastąpiła, dopieroby Sejm został zwołany. Nie nastąpi to jednak zbyt prędko, bo Rusini od żądań ustąpić nie będą chcieli, a i Polacy zapewne na ich żądania się nie zgodzą.

Wybór uzupełniający. Namiestnictwo rozpisało wybór uzupełniający jednego posła do Rady państwa z okręgu wyborczego Bochnia-Wieliczka-Podgórze i wyznaczyło jako termin pierwszego wyboru dzień 23 września, zaś dla ewentualnego wyboru ścisłego dzień 30 września. Poprzodnio posłem tego okręgu był Witold Korytowski, który po nominacyi na namiestnika mandat ten złożył.

Obywatelstwo honorowe. Wiec, jaki odbył się w Dębicy, uchwalił jednomyślnie adres z życzeniami dla posła parlamentarnego M. hr. Reya z Przyborowia, z okazyi zamianowania go przez Radę miejską obywatelem honorowym Dębicy. Przebieg wiecu i jego uchwała stwierdzają w pełni, że gorliwe, długoletnie starania posła hr. Reya o wszechstronne podniesienie Dębicy, znajdują zrozumienie w szerokich sferach dębickiego obywatelstwa.

Rozwiązanie Sejmu czeskiego. Ponieważ w Czechach Niemcy z Czechami nie mogli się pogodzić i Sejm już od kilku lat był bezczynny, przeto marszałek Czech, ks. Lobkowitz, ustąpił ze swego dotychczasowego stanowiska. — Równocześnie ukazał się patent cesarski z dnia 26 lipca b. r., zarządzający rozwiązanie Sejmu czeskiego, oraz patent cesarski, mocą którego, ze względu na zastój czynności ustawodawczej i administracyjnej reprezentacyi kraju, mianowaną zostaje krajowa komisya administracyjna, która dopóty sprawować będzie funkcye, aż podejmie czynności Wydział krajowy, wybrany przez nowy Sejm. Nowe wybory do Sejmu będą mogły być rozpisane jednak, aż będzie nadzieja podjęcia rokowań ugodowyh z dobrym skutkiem. Oto do czego prowadzi brak zgody. Przez ciągłe walki partyjne bogaty kraj coraz bardziej podupada. Taki los czeka również Galicyę, gdy rychło zgoda nie nastąpi.

O ziemię pod zaborem pruskim. W sprawie wywłaszczeń w Poznańskiem, pisze półurzędowa gazeta niemiecka, że wskutek nowych nabytków komisyi kolonizacyjnej tak z rąk niemieckich jak i polskich, dalsze wywłaszczanie nie będzie, zdaje się, potrzebne. Co zaś do odszkodowania za wywłaszczone już majątki, które, jak wiadomo, komisya rządowa oszacowała grubo poniżej ich istotnej wartości, wskutek czego wywłaszczeni skierowali sprawę na drogę sądową, gazeta dodaje, co następuje:

»Dla sprawy wywłaszczenia doniosłego jest znaczenia, czy przy unormowaniu wynagrodzenia brane będą za podstawę ceny, zapłacone za majątki, przenoszące o wiele prawdziwą ich wartość. (?) Jak wiadomo, za współudziałem polskich banków przy kupnie majątków przez Polaków z rąk niemieckich,

płacono ceny w stosunku do prawdziwej wartości przesadnie wysokie, a nie leżało w duchu ustawy wywłaszczającej z r. 1908, aby za takie, w interesie polskim robione nakłady, dawać wynagrodzenie. Co do wysokości wynagrodzenia, rozstrzygać będą, jak wiadomo, sądy. Konieczne więc jest, aby przy sporządzaniu wyroków, sądy ten moment uwzględniły. Wyroku takiego oczekiwać należy w najbliższym czasie, ponieważ w jednym przypadku wydział obwodowy przy ustanowieniu wynagrodzenia ani w przybliżeniu nawet takiej ceny nie przyznał, jaką za majątek zapłacono. Wobec tego wywłaszczony udał się na drogę sądową. Wynik tego procesu wielkie będzie miał znaczenie dla kwestyi dalszego wywłaszczania«.

Jak widzimy, gazeta półurzędowa w sposób otwarty nawołuje sądy, aby przy wydawaniu wyroków kierowały się nie interesem sprawiedliwości, lecz interesem rządu i komisyi kolonizacyjnej.

Zawierucha na Bałkanie trwa w dalszym ciągu. Na granicach bułgarsko-serbskiej i bułgarsko-greckiej od tygodnia stan zostaje prawie niezmieniony. Natomiast Turcy posunęli się znacznie naprzód, zajmując bez walki Kirkilisse i Adryanopol, które w pierwszej wojnie bałkańskiej Bułgarzy na nich zdobyli. Bułgarya jednak nie stawia Turkom oporu, sądząc, że mocarstwa na odebranie trwałe tych miast nie pozwolą. — Rumunia zajęła też bez oporu tę część Bułgaryi, którą zająć postanowiła, a na błagalne telegramy króla bułgarskiego, Ferdynada, król rumuński, Karol, polecił wstrzymać kroki nieprzyjacielskie, a rząd rumuński rozesłał oficyalne zaproszenie do państw, prowadzących wojnę, na konferencyę w Bukareszcie, stolicy Rumunii, celem przywrócenia pokoju. Wszystkie państwa zaproszenie to przyjęły i mianowały już delegatów. Rząd rumuński zajmuje jednak stanowisko, iż przed rozpoczęciem rokowań mają być wstrzymane kroki nieprzyjacielskie, natomiast rządy serbski i grecki zażądały ustalenia preliminaryów pokojowych przed zawieszeniem broni.

Na państwach bałkańskich mamy nowy przykład, co może zdziałać zgoda, a do czego prowadzi niezgoda. Póki państwa bałkańskie były zgodne, biły Turka, teraz zaś same ponoszą tak olbrzymie straty.

Manewry floty angielskiej. Od środy w zeszłym tygodniu odbywają się wielkie manewry floty angielskiej. Część floty ma za zadanie wykonanie niespodziewanego napadu i wylądowanie »wojsk nieprzyjacielskich» w Anglii, druga większa część zaś ma bronić wybrzeży angielskich przed nieprzyjacielem. Obecnie nastąpiło rozstrzygnięcie głównego zadania. »Nieprzyjacielska« flota wojenna mimo rozlicznych przeszkód wylądowała swe wojska w Anglii i zajęła port Grinuby z zapasami węgla admiralicyi angielskiej. Poprzecinano połączenia telefoniczne i telegraficzne, zajęto stacye telegrafu bez drutu i t. d. Zwycięstwo »nieprzyjaciela« jest zupełne! — biadają Anglicy. Pocieszają się jednak myślą, że to tylko zabawka, i gdyby było przyszło do »prawdziwej« bitwy morskiej, nieprzyjacielskie okręty wojenne byłyby poszły wszystkie na dno morskie.

Rewolucya w Chinach. W Chinach ciągle wre. W ostatnich dniach wybuchło tam powstanie przeciw rządowi, które przybrało znaczne rozmiary. Wojska północne rozpoczęły jednak ogólny marsz. Powstańcy cofają się w nieporządku. Wojska północne przekroczyły rzekę i obsadziły wyspę Słoniową, skąd ostrzeliwają Hankau.

KRONIKA.

Do naszych Współpracowników.

Tych z naszych Współpracowników, którzyby chcieli, aby ich utwory były umieszczone w Kalendarzu Roli na rok 1914, prosimy aby je jaknajspieszniej nadesłali, Prosimy wybierać rzeczy najlepsze, gdyż chcemy dać Kalendarz, o ile możności, jak najbardziej zajmujący.

Przepowiednie pogody. Pewien astronom rosyjski, nazwiskiem Demczyńskij, ogłosił nową seryę przepowiedni pogody, a mianowicie przepowiada lepszą pogodę w miesiącu sierpniu, zwłaszcza w drugiej jego połowie, z upałami do 20 stopni i z gwałtownemi burzami od czasu do czasu. Wrzesień ma być natomiast cały pogodny z nieznacznymi upałami i tylko chłodne noce wskazywać będą na zbliżanie się jesieni. Zaczekajmy a zobaczymy!

Utonięcie konia. Podczas jarmarku na Groblach w Krakowie, w dniu 22 lipca, chciał 21-letni parobek, Jan Kanarek, z Lusiny napoić swego konia w Wiśle. W tym celu wjechał na koniu do Wisły. Atoli w miejscu tem była głębia i koń z parobkiem zaczęli tonąć. Na rozpaczliwe wołania tonącego zbiegli się ludzie i z wielkim trudem uratowali Kanarka, który już był nieprzytomny. Biedne zwierzę zatonęło.

Zabójstwo dziecka. W Stanisławowicach, wiosce położonej pod Bochnią, zdarzył się w ubiegłym miesiącu straszny w następstwach wypadek. Na wesele w domu dróżnika, Stracha, jechało kilku podchmielonych parobczaków; z nadmiernego animuszu jadący strzelali z wozu z rewolwerów.



Wesoła zabawa zakończyła się katastrofą: Jedna z kul trafiła w czoło stojącego na drodze 10-letniego Stokiewicza, ucznia III klasy normalnej. Parobcy, zobaczywszy, co się stało, uciekli. Wyszukała ich jednak żandarmerya.

Dziecko wybawcą. Niezwykły wypadek zdarzył się w gminie Spytkowice, pod Oświęcimem. Onegdaj w nocy wybuchł w domu Ludwika Chodackiego pożar, w chwili, gdy cała rodzina wraz z lokatorami pogrążona była we śnie. Pożar szybko się szerzył i byłby niechybnie przybrał większe rozmiary i pochłonął ofiary w ludziach, gdyby nie kwilące w kołysce dziecko, które swym płaczem obudziło śpiącą matkę. Ta zaś, zauważywszy ogień, pobudziła domowników. Ogień wkrótce ugaszono, szkoda wynosi około 500 kor.

Bandyci w Niepołomicach. Z Niepołomic donoszą, że w nocy z wtorku na środę ubiegłego tygodnia grasowała tam szajka złodziejska. Niewyśledzeni dotąd złodzieje napadli na pięć domów żydowskich i katolickich. Otwierali wytrychami drzwi

i zamki. W jednym z domów żydowskich skradli korale wartości przeszło 1000 koron, zegarek i pieniądze. W innych domach skradli również zegarki i pieniądze, porozbijawszy szuflady i skrzynie. Gospodarz, Karol Trzos, obudził się, gdy dwóch rzezimieszków plądrowało mu skrzynię. Napadnięty bronił się. Szajka strzelała z rewolwerów. Na szczęście nikt nie został zabity. Gospodarz ów powiada, że widział pięć osób, trzech mężczyzn i dwie kobiety w damskich kapeluszach. Nad ranem zbiegli w niewiadomym kierunku. Uwiadomiona o tych napadach miejscowa żandarmerya wdrożyła za sprawcami energiczne poszukiwania. Uwiadomiono też o wszystkiem krakowską policyę. Liczne okoliczności wskazują na to, że mieli też miejscowych wspólników.

Szkoła na falach. Ulewa nie ominęła także powiatu limanowskiego. Z powodu oberwania się chmury wezbrał gwałtownie potok górski w Olszówce w pow. limanowskim i uniósł cały budynek szkolny. Szkoła unosiła się jednak nie długo na wezbranych falach potoku, bo wkrótce cały budynek uległ zniszczeniu, uderzywszy w pobliskie topole. Nauczyciel postradał całe mienie i najniezbędniejsze środki do życia, co przyprawiło go o rozpacz. Fale wezbranego potoku uniosły również całe urządzenie szkolne i akta.

W falach wody. Piszą nam z Mszany Dolnej: Klęska powodzi, która przed kilku dniami nawiedziła okolicę, poczyniła wielkie spustoszenia. Zamożnym nawet gospodarzom grozi obecnie nędza. Nie brakło także ofiar w ludziach. Podczas nagłego wezbrania strumyka zebrała się znaczna liczba osób na mostku, przyglądając się wzburzonym falom. W jednej chwili mostek załamał się i kilka osób wpadło do wody. Dzięki jednak przytomności umysłu i energii kilku mężczyzn, zwłaszcza p. K., udało się nieszczęśliwych uratować. Kiedy stan wody zmniejszył się, zobaczono na dnie potoku zamulone zwłoki nieznanego mężczyzny.

Pożary. Onegdaj wybuch w Mszanie Dolnej pożar w domu przy uliczce, prowadzącej do rynku. Obawa rozszerzenia się pożaru była wielka, przy uliczce tej bowiem znajdują się parterowe domki z drzewa, kryte słomą. Pożar udało się jednak umiejscowić.

Z Nowego Sącza donoszą nam, że onegdaj w samo południe wybuchł pożar w zabudowaniach gospodarskich p Smagi. Mimo akcyi ratunkowej straży spłonął dom i stodoła. W krytycznej chwili spał na strychu syn Smagi i od tej chwili ślad po nim zaginął.

Pożyteczna uchwała. Z Radłowa piszą nam: Cicho i bez rozgłosu powzięła komisya podatkowa w parlamencie dn. 11 grudnia 1912 bardzo pożyteczną uchwałę, którą później przed Wielkanocą pełna Izba poselska zatwierdziła, a którą przed kilku tygodniami Izba panów potwierdziła, przez co stało się zadość długoletniem życzeniom i prośbom ludności włościańskiej. Chodzi mianowicie o uwolnienie od podatku spożywczego (akcyzy) tego bydła, które gospodarz dorzyna z konieczności. Opłata ta wynosiła w miastach większych od sztuki (I kl.) 10 kor. 8 hal., w miastach średnich (II kl.) 7 kor. 56 hal., a w miasteczkach i wsiach (III kl.) 5 koron 4 hal. Otóż jeśli gospodarzowi krowę zdęło, jeżeli złamała nogę, jeżeli nie mogła się ocielić i t. d., gospodarz nie chcąc, żeby padła, dorzynał ją, aby przynajmniej mięso uratować, skoro życia bydlęciu utrzymać nie mógł. I wtenczas naturalnie tracił wiele, choć nie wszystko. A wtedy przychodził akcyźnik i żądał opłaty. Do straty trzeba było jeszcze dopłacić. Nic dziwnego, że ludność włościańska odczuwała tę biedę dotkliwie. Posłowie stawiali też stosowne wnioski o zniesieniu tych opłat, które jednakże dla braku poparcia i szczerego zajęcia się przez nich tą sprawą leżały sobie od kilku lat spokojnie w komisyi podatkowej. Dopiero teraz członek komisyi podatkowej, poseł Dr Matakiewicz, przez swoją wytrwałość potrafił przeprowadzić ten wniosek przez uchwałę komisyi i Izby posłów, który również przez Izbę panów przyjętym został, i po otrzymaniu sankcyi przez Najj. Pana wniosek ten w krótkich dniach stanie się ustawą, a ludność pozostanie zwolnioną od kłopotów i przykrości. Jest to wielka zasługa Dra Matakiewicza, tem więcej, że przeprowadził zastrzeżenie, że okaleczałe bydlę może dobić reźnik, a nie właściciel, i że mięso z dorżniętego bydlęcia może również rzeźnik rozsprzedać, byleby to działo się na rachunek właściciela. I wtedy dorżnięta z konieczności sztuka będzie wolna o opłat konsumcyjnych.

Posłowi Dr Matakiewiczowi przyznajemy z całem uznaniem i prawdziwą wdzięcznością zasługę i nie wahamy się powiedzieć, że gdy ta ustawa wejdzie w życie, (co najdalej w kilku tygodniach bezwarunkowo już nastąpi), będzie to wielką ulgą dla ludności rolniczej a szczególniej włościańskiej. A z tą ustawą, która będzie dla rolników prawdziwem dobrodziejstwem, będzie nazwisko posła Matakiewicza połączone.

Jak pożytecznym i czynnym posłem jest Dr Matakiewicz, dowodzą tak licznie zwoływane przez niego zgromadzenia poselskie i branie udziału we wszystkich zjazdach i wiecach, na których omawianą bywa sprawa i podniesienie tak oświatowe jak i ekonomiczne naszego ludu polskiego. Pomimo słotnych czasów był po raz trzeci także i 18 lipca w Radłowie i Siedlcu, aby na miejscu zbadać stan wody i szkód, jakie mieszkańcy tychże gmin, przez nieodczyszczanie dopływów Dunajca ponoszą i jest nadzieja, że także dzięki jego zabiegom i staraniom dopływy te odczyszczone będą i przez to kilkadziesiąt morgów bagien i nieużytków w urodzajne pola i łąki się przemienią. Dnia 20 lipca w południe odbył się w Zaborowiu, nad Wisłą, wiec, na którym nasz czcigodny poseł złożył swe sprawozdanie poselskie, którego, pomimo ulewnego deszczu, licznie zebrani włościanie z Zaborowia, Dołęgi, Pojawia, Kużkowa, Woli przemykowskiej z wielkiem zajęciem wysłuchali i wśród oklasków jednogłośnie wotum zaufania udzielili. Tegoż samego dnia wieczorem odbyło się podobne zgromadzenie w Woli radłowskiej, gdzie mu za jego gorliwą i skuteczną działalność jako posłowi parlamentarnemu i obrońcy spraw ludu włościańskiego, wotum zaufania udzielono.

Przedstawienia amatorskie. Z Mędrzechowa, w powiecie dąbrowskim, piszą nam: Staraniem młodzieży szkół średnich z parafii bolesławskiej, odbyły się w Mędrzechowie dn. 20 i 27 lipca b. r. bardzo piękne przedstawienia amatorskie z następującym programem: Słowo wstępne, »W katordze«, »Polowanie na męża«, obrazki sceniczne, »Kucie kos« żywy obraz według Grottgera. W przedstawieniach powyższych wzięli udział pp.: Bronisław Wadas. Józef Mastalerz, Michał Burgiel, Michał Banaś, Karola Grodzińska, Stefania Łysikówna i pocztmistrzyni z Bolesławia. Słowo wstępne ze sceny wygłosił do zgromadzonego ludu bardzo pięknie i zrozumiale profesor gimnazyalny z Tarnowa, p. Stanisław Mondelski, który w dobrem świetle przedstawił znaczenie przedstawień. Wszyscy, biorący udział w przedstawieniu, ze swych ról wywiązali się znakomicie, to też nie brak było licznych gości, za co mieszkańcy Mędrzechowa i okolicznych gmin składają młodzieży

szkolnej, a osobliwie WP. profesorowi Stanisławowi Mondelskiemu, serdeczne podziękowanie. Pożądanem jest, ażeby młodzież szkół średnich urządzała podobne przedstawienia nietylko w Mędrzechowie, ale w każdej wsi, a wtenczas mając jednego ducha, będziemy mieć dobrych synów i córki, kochanej Ojczyzny naszej, która wcześniej czy później za pomocą Bożą zmartwychpowstać musi. Czysty dochód z urządzonych przedstawień przeznaczony został na »Macierz Szkolną« na Śląsku. *Stanisław Kochanek*, włościanin z Mędrzechowa.

Bohaterskie dziecko. Piszą nam z Przemyśla, że podczas onegdajszej burzy, połączonej z oberwaniem się chmury koło Dobromila, jadący pociągiem urzędnik kolejowy zauważył, że jakieś dziecko, stojąc wsród wichury i deszczu na torze, daje pociągowi niespokojne znaki ręką. Pociągnął za linewkę alarmową i pociąg stanął, poczem po zbadaniu toru okazało się, że o kilkadziesiąt kroków dalej woda tor podmyła, tak, że gdyby pociąg był wjechał na tę część nasypu, musiałoby nastąpić wprost nieobliczalne nieszczęście. Wobec tego pociąg zatrzymał się czas dłuższy, aż do prowizorycznego naprawienia toru; dziecka natomiast, które uratowało życie może setkom podróżnych, mimo gorliwych poszukiwań odnaleść nie udało się; prawdopodobnie ukryło się, przerażone zatrzymaniem pociągu.

Sztuczne kaleki. Władze wojskowe w Dobromilu zauważyły, że od 10 lat w okręgu dobromilskim popisowi żydzi odznaczają się uderzająco podobnemi wadami: skrzywieniem kręgosłupa lub kości miednicy, co pociąga za sobą ułomność, mianowicie chromanie na lewą lub prawą nogę. Ponieważ podobnych »kalek« było bardzo wiele, zaczęto brać ich do wojska, a w końcu wdrożono dochodzenie w 56 wypadkach. Na skutek dochodzeń pociągnięto do odpowiedzialności sądowej 7 »kalek«, oskarżonych o udawanie. Są to żydzi w wieku od 25 do 27 lat.

Ucztujący złodzieje. Zabawny wypadek zdarzył się w ubiegłym tygodniu na Uniwersytecie lwowskim. Kilku więźniów zakładu karnego, pracujących w ogrodzie, korzystając z chwilowej nieuwagi dozorcy, zakradło się do piwnicy, gdzie znajdowały się wina pewnego profesora. Więźniowie dobrali się do butelek, racząc się obficie wytwornym trunkiem. Śpiewy podchmielonych więźni zwabiły dozorcę do piwnicy. Gdy wszedł do wnętrza, zastał już taką uciechę, że »panowie złodzieje« natychmiast zaprosili go do kompanii, tłómacząc mu, żeby sobie »nic z tego nie robił«. Nie mogąc sobie dać rady z pijanymi, zatelefonował dozorca na policyę. Niebawem pod gmach Uniwersytetu zajechały dorożki, którymi policya odwiozła rozbawione towarzystwo do więzienia.

Ostrożnie z psami! W marcu b. r., w Drohobyczu, ukąsił pies łańcuchowy, będący własnością jednego z tamtejszych piekarzy, 10 letniego chłopczyka. Równocześnie znikł pies z domu i nikt więcej nie zwracał uwagi na całe zajście, nie przypuszczano bowiem, że pies, który, od dłuższego czasu trzymany na łańcuchu, nie zdradzał nigdy objawów wścieklizny, dotknięty jest właśnie tą chorobą. Rana, spowodowana przez ukąszenie, zagoiła się i chłopak, zupełnie zdrów chodził do szkoły i należał nawet do dobrych uczniów. Dopiero przed kilku dniami zachorował nagle i niespełna w trzy dni zmarł. Objawy, towarzyszące krótkiej chorobie, upewniły lekarzy, że chłopak nosił w sobie jad wścieklizny przez 5 miesięcy.

Listy polecone. Administracya poczty donosi, że wprowadzone będzie zarządzenie, iż listy, wrzucone do skrzynek pocztowych i odpowiednio opłacone uważane będą ze strony poczty jako przesyłki rekomendowane. Nadawcy takich listów będą mogli następnie po odpowiedniem udowodnieniu zażądać od poczty recepisu. Kiedy to zarządzenie wejdzie w życie, dzisiaj jeszcze niewiadomo. Będzie ono miało tę dogodność, iż nie będzie potrzeba chodzić na pocztę z listem poleconym, ale będzie go można wrzucić do skrzynki pocztowej z tą pewnością, że list dojdzie do rąk adresata.

Smutne figle. W jednem z miasteczek na Bukowinie wydarzył się wypadek, który spowodował śmierć kilkuletniego chłopca. Gdy jakiś wyrostek prowadził przez ulicę konia, gromada dzieci zaczęła z figlów okładać zwierzę kijami. Rozjuszony koń »stanął dęba« i uderzył kopytem jedno z dzieci tak nieszczęśliwie, iż zmarło na miejscu. Jakżeż często i u nas zdarzają się podobne wypadki, a winno temu złe wychowanie dzieci.

Morowe dziecko. We wsi Harkabuza, na Orawie, gdzie mieszka ludność polsko-słowacka, zdarzył się przed kilku tygodniami ciekawy wypadek. Mianowicie 3-letni synek jednego z tamtejszych gospodarzy zabłądził we mgle. Wieczorem tego dnia opadł śnieg na stopę. Chłopca szukano bez skutku, aż dopiero na drugi dzień znaleziono go w polu.



Przeleżał on noc w polu, na śniegu, gdyż rzecz działa się w górach; jedną nogę miał bosą, bo kerpiec stracił. Pomimo to, mimo dokuczliwego zimna i słoty, chłopiec wnet przyszedł do siebie i obecnie jest zupełnie zdrowy! Twardy chłop będzie z niego. Obrazek nasz przedstawia szczęśliwe odnalezienie »morowego« dzieciaka.

Skradziona wieża. Niezwykłą kradzież popełniono onegdaj w Królewcu. Złodzieje okradli tam mianowicie grubo pozłacany miedziany wierzchołek wieży kościelnej. Obecnie przeprowadza się restauracya tego kościoła; cała wieża pokryta jest więc rusztowaniem, tak, że złodzieje łatwo wydostali się na szczyt. Stróż nocny słyszał około północy jakieś rąbania i stuk siekier na górze, nie przypuszczał jednak, by na szczycie pracowali złodzieje. Dopiero rano okazało się, że złodzieje odrąbali cały wierzchołek i zabrali go.

Nieszczęście lunatyka. O niezwykłym wypadku donoszą z Landmühle w Niemczech, co następuje: Uczeń murarski Worlitsch, który często błądził w nocy we śnie, przyczem nie uległ dotąd nieszczęśliwemu wypadkowi, wyszedł w nocy z wtorku na środę z łóżka, wszedł na okno i spadł z wysokości 12 metrów na brukowane podwórze. Nieszczęśliwy odniósł złamanie obydwóch rąk i jednej nogi. Obudził się dopiero po okropnym wypadku. Umieszczono go w szpitalu, gdzie zapewne wkrótce umrze.

Śmierć z głodu wśród złota. W roku 1910 wybrało się z Krasnojarska dwóch rosyjskich właścicieli kopalń złota, Siemionow i Gałkin, na poszukiwanie drogiego kruszcu na wysepkach bliskich

lądu nz Oceanie Lodowatym. Dostali się na jedną z bezimiennych wysepek niedaleko przylądka Przemienia Pańskiego u ujścia rzek Chatangi i Anadyry. Nikt przecież o tem nie wiedział i uważał ich za pożartych przez dzikie zwierzęta. Niedawno temu oddział łodzi rybackich dotarł do owej wysepki i rybacy dostrzegli szałas, w którym znaleźli szczątki ludzkie. Po dokładnem zrewidowaniu wnętrza znaleźli książkę, zwój gazet i zeszyt rękopiśmienny. Przekonano się, że był to dziennik zaginionego Gałkina. Zanotował on, że zapas mąki, jaki zabrano na wyspę, wyczerpał się w styczniu, przygotować zaś żywności z mięsa nie było można, gdyż prawie przez całą zimę panowała śnieżyca, która nie pozwalała na upolowanie zwierza. Siemionow zmarł w końcu stycznia. Gałkin przez 50 dni żywił się sadłem mrożonem, skórą i mięsem lisów białych, w końcu zaś nawet własną pościelą ze skór jelenich. Z dat, zapisanych w dzienniku, wynika, że Gałkin umarł w początku marca.

Cud we Francyi. W pewnej parafii, w pobliżu miasta dyecezalnego i stolicy departamentu, Carcassone, dzieją się od lat kilku niezwykłe zjawiska. Mianowicie ukazuje się Pan Jezus w Hostyi Najśw. w przeróżnych postaciach podczas wystawienia Przenajśw. Sakramentu. Aczkolwiek mieszkańcy nie wątpią o cudowności tego zjawiska i chociaż ściąga ono wielu ciekawych z sąsiednich okolic, a nawet z innych krajów, to jednak Stolica Apostolska nie uznała ich dotąd za prawdziwe cuda. Rzym bada tę sprawę, zbiera dowody, ale jak zwykle w tego rodzaju wypadkach z ostatecznym wyrokiem się nie śpieszy, jak nie śpieszy się wobec licznych cudów w Lourdes, badając każdy z nich jak najszczegółowiej. Bądź co bądź cudowne to zjawisko wywołało już w parafii i okolicy najzbawienniejsze skutki i dokonało licznych nawróceń. Była to parafia bardzo zepsuta przez złe pisma i agitacye polityczne żywiołów wrogo usposobionych dla Kościoła katolickiego. Z pośród kilkuset mężczyzn, kilku tylko starców przystępowało do spowiedzi i komunii św. wielkanocnej. Wobec tak smutnego położenia rzeczy duszpasterz parafii nie ustawał w modlitwach i umartwieniach. Niejednokrotnie widziano go w nocy krzyżem leżącego u stóp Ołtarza i ze łzami błagającego Boga o nawrócenie powierzonych jego pieczy pasterskiej owieczek. Bóg wysłuchał jego próśb. Modlitwy świątobliwego kapłana i cudowne zjawisko eucharystyczne sprawiły, że lud garnie się obecnie licznie do świątyni pańskiej i przystępuje regularnie do Sakramentów świętych.

Ziemia ich pochłonęła. W Madrycie, w Hiszpanii, przed kilku dniami stał się szczególny wypadek. Po jednej z ulic jeździła wielka maszyna do ubijania kamieni; nagle ziemia zatrzęsła się, rozwarła i maszyna wraz z robotnikami wpadła z straszliwym hukiem do jamy na dziesięć metrów głębokiej. Z okolicznych domów wybiegli ludzie, którzy przywołali policyę i straż ogniową, kiedy jednak zbliżono się do jamy, buchnęły z niej płomienie. Maszyna, zapadłszy się w ziemię rozbiła rurę gazową, a ulatniający się z niej gaz zajął się od ognia, który się palił pod kotłem. Zachodziła obawa, iż kocioł się rozerwie, coby mogło być bardzo niebezpieczne dla okolicznych domów, straży ogniowej udało się jednak ogień zagasić. Trupów robotników nie wyciągnięto.

Obłąkany w loży królewskiej. Kiedy przed kilku dniami król i królowa angielska bawili na przedstawieniu w teatrze, ukazał się nagle w loży królewskiej, nie poprzedzony żadnem zameldowaniem, jakiś nieznajomy mężczyzna, który na koszuli miał wymalowany wielki czarny krzyż. Człowiek ten, nie mówiąc ani słowa, stanął w kącie loży i mierzył króla złowróżbnym wzrokiem. Znajdujący się w pobliżu adjutanci rzucili się na nieznajomego i wyprowadzili go z teatru, stało się to jednak tak niespostrzeżenie, iż nikt z publiczności nie zauważył zajścia. Ten sam nieznajomy, puszczony wolno, przybył po raz wtóry do teatru, a kiedy mu wzbroniono wstępu, odszedł, lecz za jakie pół godziny zjawił się z powrotem ubrany już we frak. Skoro zajście w loży królewskiej przedostało się do wiadomości publicznej, pojawiły się pogłoski o zamachu na króla Jerzego, którym jednak zaraz zaprzeczono, a stwierdzono, że człowiekiem tym był uciekinier z zakładu dla obłąkanych.

Smierć w płomieniach. Z Binghamton, w Ameryce północnej, donoszą, że w tamtejszej pracowni sukien powstał pożar, w której spaliło się 62 pracownic, 30 zaś odniosło ciężkie poparzenia i rany. Przeważnie są to Polki w wieku do lat 20. Gdy rozległ się sygnał alarmujący, dziewczęta myślały, że jest to próbna sygnalizacya i nie zwracały na to uwagi. Dopiero, gdy całą fabrykę otoczyły płomienie, dziewczęta spostrzegły niebezpieczeństwo, ale wszelki ratunek był już spóźniony. Drabiny zatunkowe rozpaliły się do tego stopnia, że nie można było wejść na nie. Po 20 minutach mury fabryki runęły i pogrzedały ofiary katastrofy. Otaczające gmach fabryki tłumy słyszały przeraźliwe jęki nieszczęśliwych. Robotnice, pracujące na czwartem piętrze, spostrzegły pożar zbyt późno i rzuciły się na schody, ale musiały się cofnąć wobec gryzącego dymu. Wtedy usiłowały uratować się przez okna. ale i z tej strony ratunek był niemożliwy, gdyż płomienie buchały ponad dach. Pożar powstał wskutek porzucenia papierosa do pudła. Z pod gruzów spalonej fabryki w Binghampton wydobyto dotąd 22 ciała; 40 leży jeszcze w gruzach. Zwłok niepodobna rozpoznać. W Oakley, również w Ameryce, wybuchł w więzieniu pożar, w którego płomieniach zginęło 35 murzynów.

Szpiedzy chińscy. Nastroje wojenne ostatnich lat i groźba wojny europejskiej, a nawet światowej, spowodowały we wszystkich państwach wzmożoną akcyę wojskowych wydziałów szpiegowskich, Stąd mnogość spraw szpiegowskich tak u nas, jak i w innych państwach. Niesłychanie wzmożone szpiegostwo grasuje także na dalekim wschodzie, w Chinach i w Japonii. Japonię zalały w ostatnich czasach całe chmary szpiegów chińskich. Znaczna ich część działa na korzyść Chin, ale mnóstwo z nich stoi także na żołdzie Rosyi...



Nasz obrazek przedstawia szpiegów chińskich, ujętych w Korei przez władze japońskie i prowadzonych przed sąd wojenny.

Ostatnie słowa dziennikarza. Niejeden spełnia swoje obowiązki nie dlatego, że je spełniać po-

winien, ale tylko dlatego, aby sobie byt zapezpieczyć. Jakżeż inaczej postąpił pewien umierający dziennikarz! Oto niedawno w Ameryce Północnej, w pobliżu miasta Stamfordu, zdarzyła się jedna z tak częstych na tamtej półkuli katastrof kolejowych. Wielu ludzi zginęło, jeszcze więcej odniosło ciężkie rany. Między najciężej rannymi znajdował się także dziennikarz, sprawozdawca amerykańskiego dziennika. Wydobyto go z pod gruzów z pogruchotanemi rękami i nogami. Miał jeszcze tyle siły i przytomności, że urzędnikom kolejowym, którzy go odnieśli na stacyę, podyktował obszerny telegram do redakcyi o rozmiarach katastrofy. W końcu wyjąkał: Dodajcie jeszcze: »Stan współpracownika naszego jest tak ciężki, że nie może już pełnić dalej swych obowiązków«. Po tych słowach życie zakończył. Przykład to piękny, jak powinniśmy do ostatniej chwili spełniać swe obowiązki.

Dowcipna bomba. Miliarder amerykański, Carnegie, bawiący obecnie w Londynie, otrzymał paczkę, w której, jak mu się zdawało, znalazł bombę. Zawezwał więc policyę, która, obejrzawszy przesyłkę, przyszła również do przekonania, że to jest bomba. Wyniesiono ją więc na pole i strzelono do niej kilka razy, aby spowodować wybuch. Tymczasem »bomba« nie wybuchła. Podminowano ją kulami — i nic. Zbliżono się wreszcie do owej »bomby« i przekonano się, że to — zwyczajny ser, zrobiony w kształcie bomby.

Szczęśliwa trzynastka. Są niektórzy ludzie, którzy liczbę 13 uważają za nieszczęśliwą. Tymczasem prezydent Stanów Zjednoczonych, Woodrow Wilson, ma o tej liczbie przeciwne przekonanie. Prezydent stwierdził, najpierw, że liczba liter w jego imieniu i nazwisku wynosi 13. Dalej Wilson był trzynastym z rzędu rektorem uniwersytetu w Princeton, a wreszcie w roku 1913 został prezydentem Unii. Córka jego, miss Jessy Wilson, zaręczyła się w roku 1913, a do tej liczby ma, równie jak ojciec, taką słabość, że ślub weźmie w roku bieżącym dnia 13-go, miesiąca bliżej nieokreślonego jeszcze. Każdy rozsądny człowiek wie o tem, że wszystkie liczby są jednakowe: żadna z nich nie jest ani szczęśliwa ani nieszczęśliwa.

Nie warto być szynkarzem! Wódka jest szkodliwa nietylko dla tych, co ją piją, ale i dla tych, którzy zawodowo oddają się sprzedaży napojów spirytusowych. Dowodzi tego statystyka śmiertelności szynkarzy. Na 1.000 mężczyzn bez różnicy zajęć w wieku 30—45 lat umiera rocznie w Paryżu 36, w Szwarcaryi 25; na 1000 zaś szynkarzy w tym samym wieku umiera w Paryżu 46, w Szwajcaryi 42. Specyalnie z suchot w Szwajcaryi na 1.000 mężczyzn we wskazanym wieku umiera 7; na 1.000 szynkarzy 14, a więc dwa razy tyle. Na 13 rubryk, w których urzędowa statystyka angielska wymienia różne przyczyny śmierci wśród dorosłych mężczyzn, szynkarze w 7-miu rubrykach figurują stale od pół wieku z cyfrą o wiele wyższą od przeciętnej. W pewnym okresie czasu na 62.215 mężczyzn 20—25 letnich bez różnicy zajęć zmarło 1.000, na taką samą zaś liczbę szynkarzy w tym samym wieku zmarło 1.642. W tym okresie czasu na 1.006 wypadków śmierci z suchot przypadło tylko 67 duchownych i 105 lekarzy, a za to aż 607 szynkarzy i służby szynkownianej.

Kwiaty jako pokarm. Coraz bardziej świat nasz zatraca poetyczność. Kwiaty, które dotychczas zachwycały dwa zmysły ludzkie — wzrok i powonienie, dziś służyć zaczynają ku zaspokojeniu smaku. Mianowicie w Ameryce weszły bardzo w użycie potrawy z kwiatów. W bogatych domach zwłaszcza goście muszą być uraczeni potrawami z rzadkich i pięknych kwiatów. Najulubieńszym przysmakiem są orchideje, smażone w słodkiem ciaście i w taki sposób, że kwiaty zachowywują całą swą piękność i kształt. Kucharz, który pierwszy obmyślił przepis na tę potrawę, zrobił podobno duży majątek. Kwiaty bzu i akacyi, pieczone w tłustem ciaście, podawane są jako przekąski przed obiadem. Z listków różnanych przyrządza się słodką, wonną sałatkę. Fiołki w cukrze jada się jako doskonały przysmak. Ha, może to i praktyczne. Gdy kwiaty zaczynają więdnąc, zamiast je wyrzucać — zjeść i to jeszcze jako przysmak, ale pytanie, czy potrawy z kwiatów zdołają zaspokoić głód?

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Władysław Łukasik w Z.: Według życzenia będziemy starali się umieścić w Kalendarzu. — Jan Cygan w Z.: Uwagi o wyborach do Rady gminnej w Z. uważamy za słuszne. Ponieważ jednak list występuje przeciwko wszystkim w gminie, (a przecież chyba nie wszyscy winni), przeto listu nie umieścimy. Należałoby podać nazwiska tych, którzy poszli w służbę żydowska. Za pamięć dzięki serdeczne. — Jan Szturc w W.: Nadsyłane utwory, o ile sa dobre, chętnie drukujemy, ale bez honoraryum. — St. Z. Stachowicz w Z.: Nadesłany wiersz zupełnie dobry, lecz umieścić go nie możemy, gdyżby go prokuratorva skonfiskowała, jako wzywajacy do powstania. Katarzyna Nawrocka w K.: Ładna fantazyę umiescimy w Kalendarzu. Dzięki! — Józef Drag w R.: Po broszurkę niech Pan napisze do: Księgarni katolickiej Dr. Miłkowskiego, Kraków, plac Maryacki. Michał Jaworski w W.: Mamy tak dużo materyału, że niesposób wszystko wydrukować.

Potwierdzenia prenumeraty.

Półroczna prenumeratę nadesłali PP.:

Was Jan z W. D. M., Was Marya z O, Wojewódka Wojc. z T. n. S., Porębski Ludwik z S., Walawender Jakób z R., Kaleta Jerzy z B., Kółko kat. roln. i ośw. z G. S., Gnojek Antoni z G., Mieżyński Stanisław z P., Szylar Franciszek z M., Nowak Jan z P., Piatek Jan z T., Pluta Władysław z N. M., Lachut Marcin z S. G., Sochacki Józef z Ł., Wrzuszczak Tomasz z P.

Kwartalna prenumeratę nadesłali PP.:

Krużel Ludwik z U., Wrona Mateusz z G., Aniołówna Anna z W. N., Stoszko Zofia z P. U., Antoni Chorzępa z N.

Oprócz tego nadesłał P. Gnidziński Walenty z Z. 2·50 K.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 29 lipca:

Pszenica	Kor.	11·—	do	11·50	za 50 kg
Żyto	„	9 50	„	9·60	„
Jęczmień	„	8.80	„	9 25	„
Owies	„	9·80	„	10 30	„
Otręby pszenne	„	5·80	„	6·00	„
Otręby żytnie	„	5·80	„	6 00	„

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 29 lipca:

Buhaje	Kor.	120	do	300	za sztukę
Woły	„	230	„	400	„
Krowy	„	160	„	280	„
Jałówki	„	180	„	230	„
Cielęta	„	30	„	70	„
Owce i kozy	„	—		—	„
Świnie bita waga)		166	.	·88	za 50 kg.

Zagadki do nagrody.

1. ŁAMIGŁÓWKA.

(Ułożył Jan Malinowski).

y	z	z	z	ż
w	**y**	y	y	y
w	w	**w**	w	w
u	u	u	**w**	w
t	t	t	t	**u**
s	s	t	**t**	t
r	r	**r**	r	s
ó	**p**	r	r	r
o	o	o	o	o
n	**o**	o	o	o
m	n	**n**	n	n
ł	l	ł	**ł**	m
k	k	k	k	**k**
i	i	k	**k**	k
g	g	**g**	g	ch
c	**d**	e	e	ę
ą	b	b	c	c
a	**a**	a	a	a
a	a	**a**	a	a
a	a	a	**a**	a
a	a	a	a	**a**

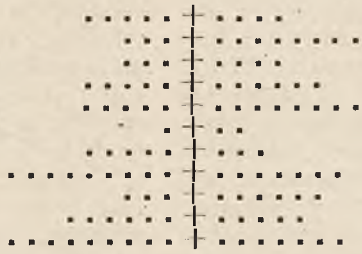
Z liter złożyć 21 wyrazów o znaczeniu: 1) ptak domowy, 2) na wieży kościelnej, 3) naczynie, 4) przejście w górach, 5) robią ci, którzy się kochają, 6) jest w każdem mieście, 7) owad, 8) tem się mierzy, 9) ten, co orze, 10) lata w lecie, 11) słabość w porze jesiennej, 12) to zalecają w szkole, 12) przezwisko Anglików w Ameryce, 14) to robią małe dzieci, 15) samica dzikiego zwierzęcia, 16) pływa po morzu, 17) w to się w zimie ubieramy, 18) to ma każdy człowiek, 19) inaczej wóz, 20) miejsca, gdzie są ryby, 21) imię żeńskie.

Litery tych wyrazów odczytane tak, jak wskazują litery czarniej wydrukowane dadzą znane przysłowie.

2. ŁAMIGŁÓWKA litetacka.

(Ułożył Paweł Wieczorek).

Krzyżyki i kropki zastąpić literami. Rząd krzyżyków poda nazwisko polskiego powieściopisarza, rzędy poziome kropek dadzą jego utwory.



3. SZARADA.

(Ułożył Józef Waszek).

Fakt wiadomy w całym świecie:
Bywa w płocie pierwsze-trzecie,
Bywa również nieraz w ścianie.
Chcąc ułatwić rozwiązanie,
Dodam jeszcze, rzecz to pewna,
Że przedstawia kawał drewna.
Drugie-trzecie kłopot nowy,
Jak tu podać na papierze,
Bo zarazem jest to zwierzę
I znany klejnot herbowy.
Wszystko powiem to jedynie,
Że go znają gospodynie.

4. SZARADA.

(Ułożył Józef Jamrozik).

Pierwsze i drugie — czynię siłą cuda,
A jeśli dotąd — zgadnąć wam się uda,
Przeczytajcie, samo trzecie!
A do potraw to dajecie —
Całości potrzeba,
Gdy chmur pełne nieba.

5. SZARADA.

(Ułożył Jkn Malinowski).

Cały wyraz szarady ma cząsteczki cztery,
Każda wzięta oddzielnie jest nazwą litery,
Ale wszystkich nie znajdziesz w jednym [alfabecie,
Tylko czwarta jest znana prawie w całym [świecie.
Pierwsza jest we francuskim tylko i niemieckim,
Druga zaś wraz z czwartą mamy tylko w greckim,
Jeśli wszystkie ułożysz, będzie żeńskie imię,
Które raz się obchodzi w lecie i raz w zimie.

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania pięknie oprawną książkę.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 9 sierpnia 1913 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z numeru 29 »Roli«: 1. Logogryf: Sionokosy, 2. Łamigłówka: Poseł do Sejmu, Tajemnicze bilety: a) Na Madagaskar, b) Maryan Langiewicz, 5. Szarada: Towary.

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali PP.: Józef Drąg z R., Jan Toboła z W., Franciszek Wratny z D., Katarzyna Smaga z D., Józefa Hirszberg z K., Adela Bezokówna z K. M., Jan Wojnar z M. G.,

Nagrodę p. t. *Szary proch* wylosował p. Jan Toboła z W.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
Drukarnia „Cz. “ w Krakowie pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.